182. Lwów — Piątek dnia 10 Sierpnia. Rok 1894.

...w dni powszednie ... 4. po południu.

[NUM]ER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . . 5 „
Numera z poprzednich miesięcy po 10 ct.

„Przegląd" jest do nabycia we Lwowie w obu Biurach sprzedaży dzienników i we wszystkich większych trafikach.

PRZEGLĄD
POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Cena prenum. na prowincyi: Miesięcznie zł. 1.10 | Półrocznie zł. 6; Kwartalnie ... | Rocznie ... Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.
Prenumeratę należy przesyłać przekazami. Do przesyłek w kopertach pieniężnych należy dodawać 5 ct.

CENY OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy: Wiersz petitowy albo jego miejsce . 16 ct. W „Drobnych ogłoszeniach" za każde słowo drukiem petitowym po . . 3 „ ... tłustym garmondem po . . 6 „ Korespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy: O głoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct. Reklamy . . . 20 „ Nekrologia . . . 20 „
Ogłoszenia do „Przeglądu" przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW" ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś: św. Wawrzyńca | Kałynyka. Jutro: św. Zuzanny | Syły Ap.
Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.
Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.**
Wschód słońca g. 4 m. 53. Zachód „ 7 „ 15
Długość dnia g. 14 m. 22. Ubyło dnia od wczoraj 4 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 9 sierpnia.

W prasie niemieckiej toczy się żwawa dyskusya o walce, istniejącej podobno między hr. Caprivim a ministrem Miquelem. Dzienniki utrzymują, że jeden z nich koniecznie ustąpi,— a który? — o tem się właśnie sprzeczają pisma liberalne z konserwatywnemi.

Hr. Caprivi nietylko jest kanclerzem, lecz także ministrem spraw zagranicznych w ministeryum pruskiem, a p. Miquel obok urzędu ministra skarbu zajmuje stanowisko pruskiego pełnomocnika w Radzie związkowej rzeszy niemieckiej; obydwaj tedy spotykają się z sobą na głównych polach swej działalności.

Wiadomo również, że chociaż p. Miquel jest tylko pruskim ministrem finansów, wywiera jednak dobitny wpływ na finanse Rzeszy. Ma pewne prawa do tego, jako kierownik finansów największego w Rzeszy państwa; przeprowadziwszy więc w Prusach niezmiernie doniosłą reformę podatkową, zażywa oczywiście powagi w dziedzinie skarbowości, a kierownik finansów Rzeszy hr. Posadowski za jego przyczynieniem się na stanowisko swoje został powołany i wpływom p. Miquela ulega. Nie kto inny też, tylko Miquel uważany jest za twórcę projektów podatkowych, którymi się parlament niemiecki podczas ostatniej sesyi zajmował, i on to opracował projekt reformy finansowej dla Rzeszy, który zapewniając skarbowi niemieckiemu własne dochody, miał go uczynić niezależnym od poszczególnych państw cesarstwa.

Jeżeli do tego wszystkiego dodamy, że zarówno hr. Caprivi, jak i p. Miquel, cieszą się szczególnem zaufaniem cesarza, łatwo zrozumieć, że antagonizm pomiędzy obu mężami stanu może mieć poważne znaczenie.

Antagonizm ten nie jest nowy. Dziś wywołała dyskusyę o nim półurzędowa *Nordd. Allg. Zeitung*, z czego niektóre dzienniki wysuwają wniosek, że walka będzie się musiała koniecznie zakończyć ustąpieniem z areny politycznej jednego z dwóch rzekomych przeciwników. Niektórzy idą dalej, zapowiadając na pewno ustąpienie p. Miquela przed rozpoczęciem jesiennej sesyi parlamentu.

Ale najpoważniejsze organa prasy berlińskiej podnoszą wątpliwość, czy sprawa zaszła tak daleko? Przypominają one, że organ półurzędowy, który długo pozostawał pod kierownictwem głośnego Pindtera, zmienił redakcyę. Podobno na czele nowej redakcyi stanął publicysta, znany z antisemityzmu, a prasa liberalna w skutek tego stara się przedstawić go jako człowieka niezręcznego i niewykwalifikowanego, który bez upoważnienia drażliwe wyciąga przedmioty.

Nie mamy powodu badania, czy artykuły *Nordd. Allg. Zeitung*, poświęcone p. Miquelowi, są inspirowane z góry, czy wynikiem własnych poglądów nowego redaktora, bo trudno będzie to stwierdzić. Czynią one zresztą Miquelowi zarzut tylko z tego, że się otacza ludźmi nieprzychylnie dla dzisiejszego rządu usposobionymi, że słucha ich podszeptów i wpływom ich ulega. Nietrudno odgadnąć, o jakich ludzi tu chodzi. Początki zatargu pomiędzy Caprivim a Miquelem datują z lutego i marca r. b., kiedy rozwinęła się agitacya agraryuszy pruskich. Wiadomo, że pewne pruskie koła rolnicze, podżegane przez przyjaciół dawnego kanclerza, pod pozorem, iż obecny „kurs" zupełnie interesa rolników ignoruje, wystąpiły z silną opozycyą przeciwko hr. Capriviemu, jako głównemu przedstawicielowi „nowego kursu." Główny atak przeciwko kanclerzowi został wykonany w czasie rozprawy nad traktatem handlowym z Rosyą, a przemówienia przywódców konserwatywnych w toku tych rozpraw były przepełnione namiętnemi i gwałtownemi wycieczkami przeciwko Capriviemu. Kanclerz, jako wyborny mówca, nie pozostał dłużnym odpowiedzi, a posługując się krzyżową sztuką wobec przeciwnika, oddawał za piękne nadobnem.

Wtedy to rozeszła się pogłoska, że minister finansów niebardzo jest zadowolniony z ostrego tonu, w jakim kanclerz odnosi się do konserwatystów. Na kilka miesięcy przedtem bowiem parlament był uchwalił reorganizacyę armii, która podniosła budżet wojskowy o 60 mil. marek rocznie, a p. Miquelowi przypadło w udziale zadanie wyszukania środków na pokrycie zwiększonych wydatków.

W kwestyi traktatu handlowego miał hr. Caprivi za sobą stronnictwa liberalne, ale p. Miquel wiedział bardzo dobrze o tem, że z wyjątkiem narodowo-liberałów, żadne inne stronnictwo lewicy za jakimkolwiek nowym podatkiem głosować nie będzie, choćby ten podatek miał służyć na pokrycie wydatków przez parlament już uchwalonych. On tedy pragnął pozostać w dobrych stosunkach ze stronnictwami konserwatywnemi, a zbyt szorstkie występowanie hr. Capriviego wobec konserwatystów przerażało go.

Gdy więc Caprivi, nie mogąc jako żołnierz ograniczyć się wyłącznie na obronie, na każde uderzenie agraryuszów odpowiadał ostrym atakiem, według głoszonej zresztą przez Bismarka maksymy, że najlepszem zasłonięciem się jest cięcie, Miquel politykował i na obradach, podczas zjazdów rolniczych, rozwodził się w myśl agraryuszów nad potrzebami rolnictwa. Zrodziła się wtedy pogłoska, iż pomiędzy kanclerzem a ministrem skarbu istnieje silny antagonizm, że Miquel nawet jest przeciwnym traktatowi, że nie bierze wcale udziału w obradach parlamentu nad traktatem i t. p.

Skłoniło to Miquela do zabrania głosu podczas rozpraw nad traktatem; w mowie swojej stanął energicznie w obronie jego, ale zarazem zaznaczył smutne położenie rolnictwa, utrzymując tylko, iż rolnicy gdzieindziej, aniżeli w walce przeciwko traktatowi, powinni szukać lekarstwa na niedomagania swoje.

Hr. Caprivi zbliżył się wówczas do p. Miquela i dosyć ostentacyjnie wyraził mu uznanie za jego mowę.

Przypominamy te zajścia, które tłómaczą właściwie znaczenie antagonizmu pomiędzy hr. Caprivim a Miquelem. Faktycznie do dziś agraryusze uważają Miquela za swego sprzymierzeńca w rządzie, a stąd wielkie panuje niezadowolnienie w obozie liberalnym.

Chociaż politykowanie z przeciwnikiem jest dosyć sprzeczne z żołnierską naturą dzisiejszego kanclerza Rzeszy niemieckiej; agraryusze zaś tak namiętnie go zaczepiają, że istotnie trudno mu z nimi paktować, to jednakże hr. Caprivi zanadto jest bystry, aby nie dostrzedz, iż dobre stosunki z różnemi partyami rządowi na dobre wyjść mogą. Jeżeli tedy dziś jakoby przeciwieństwo pomiędzy nim a Miquelem się zaostrza, zapewne więcej to dzieło przyjaciół, niżeli samego kanclerza. Liberałowie nie mogą Miquelowi wybaczyć, że on, który za czasów studenckich był wielbicielem teoryi Marxa, później jednym z filarów liberalizmu, w dojrzałym wieku, widząc, iż liberalizm niczego zbudować nie potrafi, najwyraźniej się skłania ku konserwatyzmowi i sympatyzuje z kołami rolniczemi, które uważa za tak ważną podstawę państwa, że pragnie pracować nad polepszeniem fatalnej ich doli obecnej.

To też prasa narodowo-liberalna bezustannie przeciwko niemu podszczuwa, a przedstawiciele pewnych kół liberalnych, mających dostęp do Capriviego, pracują nad poróżnieniem go z Miquelem. Pozycya kanclerza wzmocniła się obecnie przez sukcesy w polityce zagranicznej, gdy tymczasem niepowodzenia projektów finansowych Miquela w parlamencie jego stanowisko osłabiły. Przeciwnicy jego w obozie liberalnym chcą z tego korzystać. Miquel zapowiedział na pewnym bankiecie w lutym, iż prawodawstwo dotychczas uwzględniało wyłącznie interesa innych stanów, że atoli obecnie rozpocząć się powinna epoka reform w interesie rolników. To przeraża liberałów. Czy usiłowania ich, skierowane ku wyparciu Miquela z zajmowanego stanowiska udadzą się, o tem przesądzać nie można. Dotychczas cieszy on się zaufaniem cesarza Wilhelma, a to dużo znaczy.

Nordd. Allg Ztg. protestuje przeciwko podsuwaniu jej zamiaru siania rozterki pomiędzy obu ministrami. Dziennik ten pisze pomiędzy innemi: „Niepodobna nie skarcić z całą stanowczością przedstawienia naszych artykułów, jako niesłychanie gwałtownego ataku na ministra skarbu. Nikt nie ma prawa podsuwania nam zamiarów, do których się nie przyznajemy i nadawania naszym wywodom znaczenia, przeciwko któremu najwyraźniej się zastrzegliśmy".

Istotnie, głównych przeciwników Miquela nie należy szukać ani w pałacu kanclerza, ani w redakcyi półurzędowego dziennika, lecz w „Bundzie" agraryuszy, który tańczy tak, jak mu zagra Bismark.

Z Kopenhagi doniósł wczoraj telegram o zmianie gabinetu. Prezes gabinetu Estrup, który przed 20 tu laty stanął na czele rządu w Danii, a przez dziewięć ostatnich lat miał zatarg konstytucyjny z drugą izbą, t. zw. Folkethingem, podał się do dymisyi. Następcą jego jest dotychczasowy minister spraw zagranicznych, bar. Reetz-Thott.

Wiadomo, że po zatargu konstytucyjnym, doszło ostatniej wiosny do skutku porozumienie, i że dnia 1 kwietnia obydwie izby po raz pierwszy od 9 lat uchwaliły całkowity budżet. Już wtedy Estrup zapowiedział, iż latem ustąpi ze swego stanowiska, a zapowiedź tę obecnie urzeczywistnił. Do nowego gabinetu barona Reetz-Thotta wstąpi podobno kilku członków lewicy, ci właśnie, którzy przyczynili się do zawarcia ugody wiosennej.

Wojna chińsko-japońska.

Od tygodnia wre już na dobre wojna między temi dwoma państwami, które stanęły do zapasów nie tylko o półwysep Koreański, ale także o przewodnictwo polityczne w Azyi.

Do walki stanęła tam przeszłość i teraźniejszość, albo raczej przyszłość azyatyckiego kontynentu. Sposągowiała mumia owych Chin, które przed kilkoma tysiącami lat już umiały uprzedzić wszystkie prawie celniejsze wynalazki i odkrycia dzisiejszej Europy, a nie umiały ich udoskonalić, utrwalić i wyzyskać na korzyść istotnego postępu, staje do turnieju ze społeczeństwem, które od lat trzydziestu weszło na tory asymilowania wszystkich zdobyczy cywilizacyjnych i politycznych geniuszu europejskiego i w ciągu jednego pokolenia przyswoiło sobie taki zapas kultury nowoczesnej, że dziś już prawie uważać można Japonię za przedstawicielkę i orędowniczkę wszystkich niemal dóbr moralnych, jakie wyobraża ustrój europejski. Samo spojrzenie na wizerunek armii japońskiej wystarcza, aby zrozumieć że stanęły tam do walki z dumną martwotą Chin wszystkie czynniki postępu i organizacyi naszego kontynentu. Armia ta w wyekwipowaniu swojem, uzbrojeniu i karności przypomina wiernie najlepsze wzory europejskie; niepodobna wątpić o tem, że posiada ona i wykształconą na wzorach tutejszych sztabów jeneralnych strategię. Wobec niej armia chińska przypomina człowieka, zbudzonego nagle z długiej, bezczynnej drzemki i poziewającego ospale, niedołężnie w chwili, która wymaga czynów i szybkiego oryentowania się w położeniu.

Wojna chińsko-japońska będzie trwała długo, o tem wątpić nie można. Obustronne nienawiści spotęgowane są tam do najwyższego stopnia, jak świadczy edykt cesarza chińskiego w którym on zastrzega sobie wszelkie prawa do Korei i wszystkie władze wojskowe oddaje pod zwierzchnictwo wicekróla Li-Hung-Czanga, a temu wicekrólowi poleca krótko i węzłowato „zabrać do niewoli i zniszczyć wszystkie okręty japońskie". Li Hung Czang ma z pewnością szczerą intencyę spełnić rozkaz swego pana co do joty, czy mu się jednak to powiedzie, to rzecz inna. Dotychczas jak się zdaje Japończycy są górą zarówno na lądzie jak i na morzu, ale do ostatecznego upokorzenia Chin jeszcze bardzo daleko. Upadek takich organizacyi państwowych, jak Chiny, kolosu mającego 350 mil ludności, nie przychodzi tak rychło.

Tymczasem przygotować się należy do biuletynów mętnych i kłamliwych. W tym kierunku Chiny w ciągu tygodnia dokonały już rzeczy prawie cudownych. Wszystkie niemal depesze ze źródła chińskiego rozmijały się dotąd systematycznie z prawdą. Wielkie zwycięstwo morskie, odniesione przez Chińczyków nad Japończykami, okazało się bajką. Teraz dopiero flota chińska, złożona z trzynastu okrętów, wypłynęła z Chefoo do Korei, można było przeto spodziewać się teraz dopiero poważniejszego starcia. Tymczasem nadchodzi wiadomość, że flota owa powróciła do Chefoo. Dlaczego? Prawdopodobnie komenda okazała się niedołężną wobec groźnej sytuacyi i dała się zaskoczyć Japończykom, tak, że potrzeba znowu zaczynać *ab ovo*.

Japończycy tymczasem okazali dotychczas rzutkość nielada. Dowiedziawszy się, że 20-tysięczny korpus chiński maszeruje ku granicy koreańskiej, nie czekali na wypowiedzenie wojny, lecz z piorunującą szybkością zaszli drogę flotyli chińskiej, wiozącej wojsko na Koreę również bez poprzedniego wypowiedzenia wojny, zatopili jeden okręt a resztę rozpędzili. Depesze pochodzące ze źródła chińskiego przedstawiły początkowo ten czyn floty japońskiej jako zwykły napad korsarski, przeciwny wszelkim prawom międzynarodowym, co dało nawet powód do dyplomatycznego wmięszania się w tę sprawę Anglii, gdyż zatopiony parowiec „Kowszing" płynął pod flagą angielską. Obecnie inaczej już Europa zapatruje się na tę bitwę, mając relacye trzech oficerów europejskich, z których jeden jest w służbie chińskiej, a dwaj inni dowodzili załogą zatopionego statku i przez Japończyków uratowani zostali. Posłuchajmy jak przedstawia tę bitwę morską europejski kapitan Hanneken, będący w służbie chińskiej: „W dniu 25 lipca wypłynął angielski parowiec „Kowszing" z 1600 żołnierzami chińskimi na pokładzie z przystani chińskiej Wei-hai-wei w pobliżu Chefoo i podążał do Korei. Na pełnem morzu, mniej więcej 65 kilometrów od Chemulpo, spostrzegł eskadrę japońską, składającą się z admiralskiego okrętu „Matsusima", z parowców „Kan" i „Naniwa" i jeszcze jednego wielkiego krzyżownika. „Naniwa" i „Kan" stanęły i dały „Kowszingowi" sygnał: „Stanąć w tej chwili, albo sami odpowiecie za skutki." „Kowszing" spuścił bezzwłocznie kotwicę, a z obu parowców japońskich spuszczono łodzie. Oficerowie japońscy przybywszy na pokład „Kowszinga", zbadali jego papiery, poczem rozkazawszy komendantowi płynąć za okrętami japońskimi, wsiedli do łodzi i udali się do swoich okrętów. Gdy żołnierze chińscy dowiedzieli się o tym rozkazie, zajęli groźną postawę i zagrozili oficerom angielskim, dowodzącym statkiem, że ich zabiją, jeżeli nie zwrócą biegu ku wybrzeżom chińskim. „Kowszing" sygnałami dał o tem znać „Naniwie" i wezwał jej komendanta, aby powtórnie przysłał parlamentarza. Jakoż wnet przybyli powtórnie wysłańcy japońscy. Oficerowie europejscy opowiedzieli im, co się dzieje na statku, i zarazem przedstawiali, że wojna jeszcze nie jest wypowiedziana, że „Kowszing" płynie pod angielską flagą a zatem ma prawo wrócić do Chin, gdyż flaga, angielska jest nietykalna. Japończycy wrócili, a wnet z pokładu „Naniwy" dano sygnał: „Opuszczajcie okręt jak najprędzej." Kapitan „Kowszingu" również sygnałami odpowiedział, że to niemożliwe, gdyż żołnierze chińscy ich nie puszczą. Na to nic już nie odpowiedziały okręty japońskie, stanęły tylko w pozycyi bojowej, rozpoczęły ogień z odległości 200 metrów i puściły torpedę, która trafiła w bok „Kowszinga" i wywołała straszną eksplozyę. Okręt począł zwolna tonąć, Japończycy jednak pomimo to strzelali dalej, nie szczędząc nawet żołnierzy chińskich, którzy rzucili się do wody, aby się ocalić. Spuścili nawet na wodę łódź z żołnierzami, którzy palili z ręcznej broni do każdego Chińczyka, walczącego z falami. Prawdopodobnie nie chcieli Japończycy, aby pozostał przy życiu jaki świadek tej rzezi. Nie starano się nikogo ratować, a gdy „Kowszing" zniknął pod wodą, japońska „Naniwa" odpłynęła spokojnie dalej."

Ta relacya kapitana Hannekena, jakkolwiek w całkiem innem świetle przedstawia tę bitwę, aniżeli pierwotne doniesienia ze źródła chińskiego, wedle którego Japończycy, jak to mówią, „na gładkiej drodze" zaczepili statek angielski i nie dając mu nawet sposobności wytłumaczyć się, poczęli doń strzelać,— w każdym jednak razie rzuca pewien cień na postępowanie Japończyków.

Inaczej jednak przedstawiają tę bitwę dwaj inni, pozostali przy życiu oficerowie europejscy, a mianowicie komendant i pierwszy oficer „Kowszinga", których po zatopieniu statku łodzie japońskie wyratowały. Obaj ci oficerowie zeznali pod przysięgą, że gdy z pokładu „Naniwy" zapytano sygnałami, czy „Kowszing" popłynie za japońskimi okrętami, „Kowszing" odpowiedział na to sygnałem „Dobrze. Jesteśmy w waszej mocy". Chińscy żołnierze nie pozwolili jednak komendantowi statku płynąć za Japończykami, komendant wezwał więc po raz drugi parlamentarzy japońskich, a ci przybywszy na pokład, już tam wezwali oficerów europejskich, aby czemprędzej pokład opuścili, a potem to samo wezwanie powtórzyli sygnałem z „Naniwy". Kapitan wezwał na pokład maszynistów i wszystkich Europejczyków i chciał z nimi ujść, ale Chińczycy nie pozwolili. Po pierwszym strzale rzucił się kapitan z pokładu w morze, dając w ten sposób Europejczykom przykład, aby tak samo zrobili. Wielu tedy poszło za tym przykładem, a Chińczycy z pokładu strzelali do Europejczyków. Japończycy zaś wysłali co prędzej łodzie na ich ratunek i rzeczywiście wyratowali kapitana i pierwszego oficera.

Otóż powagi w sprawach marynarskich utrzymują, że wobec tego przedstawienia rzeczy, Japończycy nie naruszyli prawa międzynarodowego, gdyż „Kowszing" w chwili, gdy Japończycy strzelać doń poczęli, nie był już okrętem angielskim, skoro żołnierze chińscy odebrali komendę oficerom angielskim.

Bądź co bądź faktem jest, że depesze chińskie o owej bitwie morskiej były kłamliwe. Równie kłamliwe okazują się depesze donoszące o zwycięztwie Chińczyków w dwudniowej bitwie pod Asan gdzie Japończycy stracić mieli 2000 ludzi i opuścić nie tylko plac boju, ale nawet zajętą przez nich stolicę Korei, miasto Soul. Tymczasem londyńskie biuro Reutera otrzymało depeszę z Tokio, że to właśnie Japończycy po pięciogodzinnej morderczej bitwie pobili Chińczyków i zajęli ich pozycye.

W ogóle trudno na razie o prawdziwe wiadomości z tego dalekiego teatru wojny.

Istotnym dotąd wynikiem akcyi wojennej jest zatopienie przez Japończyków „Kowszinga" i zdobycie niewielkiego statku chińskiego „Tsao-Kiang". W ogóle o losach wojny decydować będzie morze; Japonia musi bowiem zapewnić sobie dostęp do Korei ze strony morskiej, a Chiny muszą dołożyć wszelkich starań, aby przeszkodzić jej w lądowaniu wojsk i materyału wojennego.

---

20)

OD JUTRA.

Powieść współczesna z papierów familijnych spisana przez *Maryana Gawalewicza*.

(Ciąg dalszy).

Chwilami tylko odsuwał się i przyglądał mu uważniej, jakby odzyskiwał świadomość, ale na nogach utrzymać się nie mógł i upadał na kanapę w gabinecie, bełkocząc:

— Nie.... pan dobrodziej.... ja pana dobrodzieja....

W takim stanie odwieziono go do Dziadowej: przespał się dobę całą i wstał, — jak z letargu zbudzony, — zapomniawszy o wszystkiem.

Na drugi dzień starszy brat wziął go ze sobą do pustych pokojów po drugiej stronie dworu, — zamknął się z nim i dopiero po godzinnej rozmowie sam-na-sam, wyszli obaj pogodzeni, jak gdyby nigdy między nimi nic nie zaszło.

Mikołaj miał minę nawet spokorniałą, oczy w ziemię spuszczał, spotkania z panną Domicellą unikał i od tego czasu przestał patrzeć w jej stronę.

Ilekroć przychodziła mu chętka zadrzeć z nią na nowo i zacząć pić, urywał natychmiast, skoro tylko usłyszał głos brata:

— Mikołaj !... znów zaczynasz?...

Krzywił się, zagryzał usta i odwracał, jak kundys, któremu batem pogrożono.

Znać było, że w owej tajemniczej rozmowie na cztery oczy musiały się znaleźć argumenta, które przekonały, a raczej poskromiły awanturniczą naturę Mikołaja Chocholewicza, nie przywykłego ustępować komuś tak łatwo z drogi.

Tłumiona złość znajdowała sobie za to ujście w innym kierunku; Franek dostawał coraz częściej teraz za ucho, wyprawy do piwnicy powtarzały się po kilka razy na dzień, a przy jednym takim powrocie z lochu, powinęła się noga Mikołajowi, jak go we dworze i wsi nazywano, — spadł ze schodów i potłukł się tak, że wychodzić nie mógł przez kilka tygodni.

Wówczas to wynalazł sobie zabawę, która tyle zgorszenia wywołała w poczciwym proboszczu i jego parafianach, kiedy podczas sumy odzywać się zaczęły we dworze strzały z rewolweru, którémi młodszy dziedzic uprzyjemniał sobie przymusowe rekolekcye.

Z obwiązaną nogą siedział w fotelu i walił raz po raz w ścianę przeciwległą, biorąc za cel różowe kwiatki w deseń rzucone na niebieskiej tapecie.

Franek musiał co chwila chodzić i sprawdzać, czy jaśnie pan trafił.

Zachciało mu się potem strzelać do landszaftów na ścianie, wreszcie do pustych butelek, ustawionych na stoliku pod piecem.

— Widzisz kundlu? — przechwalał się przed Frankiem — widzisz, jak twój pan strzela?.... Potrafisz tak?... co?...

— Zkądbym potrafił!...

— Stań pod ścianą, to ci każdy guzik odstrzelę od kamizelki.

— A bo to mi życie niemiłe?

— No, zaraz mi stań!... dostaniesz rubla.

— Żeby mi jeszcze pan i po pięć obiecywał, to nie chcę.

— Boisz się?... boisz się byclu!

— Bez co się nie mam bać?... jaśnie pan takżeby nie stanął.

— Ja, dlaczego nie?... ja się niczego nie boję!... jabym się stu dyabłów nawet nie zląkł masz!... spróbuj, strzelaj do mnie!... no, strzelaj bestyo, kiedy ci każę!..

Chłopak patrzał na niego, jak na waryata.

— Co mi po takich żartach?... bo to nie ma zajęcy w polu, żebym do ludzi strzelał?... to nie żadna uciecha!...

Mikołajek śmiał się i bawił jego głupią miną, — udawał, że w niego mierzy i strzelał mu ponad głową, a chłopak nie ufając dłużej Panu Bogu, który kule nosi, czmychnął za drzwi i za nic w świecie nie chciał wrócić, dopóki jaśnie pan wszystkich nabojów nie powystrzelał.

Za powrotem starszego dziedzica do domu, panna Domicella z obwiązaną głową poszła na skargę.

— Do czubków go odesłać!... — piszczała z płaczem. — Czy to kto widział, aby dziurawić kulami ściany w pokoju!.... Cała podłoga szkłem zasypana. Chłopi przychodzili tu ze skargą. To mu na sucho nie ujdzie; zobaczy pan!...

Była z tego powodu znowu scena pomiędzy braćmi.

— Cóż ty chcesz, żebym ja siedział, jak pies na łańcuchu, cały dzień w budzie, co? może wył z nudów?... — odpowiadał na słowa brata. — Każdemu wolno robić w domu, co mu się podoba... Wolność Tomku w swoim domku. Kiedy mi się chce strzelać, to będę strzelał.

— Możesz sobie i w łeb palnąć, ale w lesie, nie w pokoju.

— Ciekawy jestem, dlaczego nie w pokoju?... jeśli mi się podoba, to i z armat będę walił. I co mi kto zrobi?...

Podobał mu się ten pomysł artyleryjski, bo się śmiać zaczął sam z niego.

— Kiedy ci chodzi o twoje ściany — mówił — to ja sobie poradzę, nie bój się, ale temu klesze na złość zrobię taką kanonadę, że do reszty ogłuchnie.

Przeniósł się na drugą stronę do pustego salonu, kazał napalić na kominie i tam urządził sobie strzelnicę.

Ta dzika zabawka podobała mu się szczególniej, a że noga zwichnięta nie pozwalała mu się jeszcze z miejsca ruszyć, więc z nudów psuł całe paczki nabojów i walił w ściany kulę za kulą.

W pustych pokojach echa strzałów rozlegały się hukiem, który zdawał się podniecać nerwy stępione pijanicy.

Na kominku palił się ogień, syczały wilgotne polana, czerwone błyski wyskakiwały na podłogę, na ściany, na sufit, oblewały poświatą całą postać Mikołajka, który na pół leżąc w starym fotelu rozparty, z nogą wyciągniętą na stołeczku, nabijał to pistolety, to rewolwer, wybierał sobie za cel rozmaite punkta, w które z zadziwiającą pewnością ręki trafiał za każdym niemal razem, chociaż ta ręka drżała mu coraz więcej w miarę wychylania kieliszków koniaku, stojącego w butelce przy nim na stoliku, obok całego arsenału broni palnej.

Panna Domicella lamentowała, odgrażała się, że tego dłużej nie wytrzyma i na folwark się przeniesie, albo całkiem służbę rzuci.

— Z takim waryatem człowiek życia nie jest pewny! — skarżyła się przed starszym panem. — Jemu kiedy przyjdzie fantazya do mnie strzelić. U niego wszystko jest możliwe! A ja, proszę pana, taką marną śmiercią ginąć nie chcę. Ja dam znać do urzędu, że pan Mikołaj po domu, jak w lesie strzela, niech komisyę zeszlą na miejsce.

— No, no, nie rozpuszczaj sobie tak gęby moja kochana! — ofuknął zniecierpliwiony Paweł, któremu te ciągłe awantury z bratem zanadto już dokuczyły, a pogróżka sprowadzenia komisyi nazbyt śmiałą się wydawała w ustach gospodyni.

Marmuzela zaniosła się płaczem.

— O dolo moja nieszczęśliwa!... na tom zeszła w tym domu, żeby się do mnie jak do dziewki odzywano!... ja mam gęby nie rozpuszczać?... ja mam gębę?... póki żyję na świecie, póki jestem w kondycyach, nigdy mi nikt tego nie powiedział. A przestrzegali mnie, a radzili, abym obowiązków żadnych nie przyjmowała u takich ludzi bez sumienia!.. Dobrze mi teraz tak, teraz mi gębę moją wytykają, a kiedy nastałam, to miałam buzię i dzióbek i Bóg wie co. Ja nie potrzebuję, żeby mi kto w oczy impertynencye ciskał; ja mogę sama odejść, niech będzie skandal na całą okolicę, niech się ludzie dowiedzą, co się w tej zatraconej Dziadowej dzieje!

Słychać ją było aż na dziedzińcu; pod oknem psy szczekały i skowyczały, zaniepokojone temi krzykami i piskami wewnątrz.

— Niech mnie tylko za język nie ciągną, bo i ja potrafię gębę rozpuścić na prawdę! — wołała na cały głos.

Paweł Chocholewicz czapkę nasunął na głowę i czerwony, jakby mu krew z pod skóry trysnąć miała, zamknął przez ogród do stajni, a Mikołajek na złość Domicelce walił z pistoletu jak na wiwat, kazawszy chłopcu drzwi zamknąć na klucz, aby nikt do pustej połowy dworu dostępu nie miał.

Bawiła go ta awantura.

Lubił takie hałasy, krzyki, brewerye przy akompaniamencie psów szczekających i huków pistoletowych.

Na noc kazał sobie posłać przy kominie i spał w swej nowej rezydencyi, w której mu coraz lepiej się podobało, bo się czuł odgraniczony od wszystkich, mógł robić, co chciał i nie potrzebował się stykać ani z bratem ani z gospodynią.

Franek na sienniku, nierozebrany, zawinięty w jakąś starą burkę, leżał pod ścianą i chrapał.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z wystawy.

(Fabryki papieru w Galicyi.)

Produkcya papieru w Galicyi pomimo nie bardzo szczęśliwych u nas stosunków ekonomicznych, trudności fiskalnych i konkurencyi z fabrykami niemieckiemi, rozwija się dość pomyślnie i z wyjątkiem papierów luksusowych zaspakaja wszystkie potrzeby kraju, a nawet znaczne transporty wysyła za granicę. Wszystkie galicyjskie fabryki papieru wzięły udział w naszej wystawie i okazy swe pomieściły w lewem skrzydle wielkiego pawilonu przemysłowego.

Fabryka papieru dra Henryka Kolischera w Czerlanach, istniejąca od roku 1879, przedstawiła materyały surowe, używane do wyrobu papieru, próbki półmasy i masy papierowej w różnych stadyach przeróbki, okazy różnych gatunków konfekcyi papierowej, rysunki i plany fabryki, próbki zeszytów szkolnych, sporządzonych wedle wzorów Rady szkolnej krajowej i t. d. Wyroby tej fabryki należą do bardzo dobrych i z powodzeniem konkurują z fabrykatami zagranicznymi. Zaopatruje ona w papier rząd i koleje, oraz prawie wszystkie drukarnie w Galicyi wschodniej. Wiele wyrabia także papieru na eksport, mianowicie wywozi go do Bułgaryi. Przed dwoma laty stała się ona pastwą pożaru, ale dziś odrestaurowana, zaopatrzona w dwie maszyny parowe i liczne maszyny pomocnicze, jest w pełnym rozkwicie.

Również wybitne miejsce w produkcyi papieru w Galicyi, zajmuje fabryka p. Alfreda Fiałkowskiego w Białej. Założona w roku 1868, zatrudnia przeszło 200 robotników, a wyroby swe wysyła przeważnie do Anglii i na Wschód. — Na kilku wystawach otrzymała pierwsze nagrody.

Trzecia wielka fabryka papieru w Galicyi znajduje się w Sasowie; istnieje ona od roku 1868 i zatrudnia 320 ludzi. Właściciel jej p. Zygmunt Weiser, przybywszy do do Galicyi, odkupił fabrykę sasowską od dawnego jej właściciela p. Komarnickiego w chwili, gdy fabryka ta miała już upaść. Oprócz wielkiego kapitału, włożył w nią nowy właściciel całą swoją fachową wiedzę, ogromną pracę i niestrudzoną energię. Fabryka powoli, ale stopniowo się rozwijała, ulepszała i dziś tak pod względem jakości swoich wyrobów, jakoteż rozmiarów fabrykacyi, zajmuje pierwszorzędne stanowisko nietylko w Austryi, ale nawet w Europie. Przeważnie wyrabia ona papier cygaretowy; wszystek materyał potrzebny do tej fabrykacyi, czerpie z kraju, a gotowy produkt wysyła za granicę. Zajmując pierwszorzędne stanowisko między fabrykami światowemi, konkuruje pomyślnie co do dobroci swych wyrobów z największemi fabrykami Włoch i Francyi. Bibułki jej rozchodzą się nietylko po Europie, ale także do Turcyi, Azyi, Ameryki, Chin i t. d. Największe transporty wysyła do Egiptu i Francyi.

P. Berl Sekler, kupiec ze Lwowa, wystawił okazy papieru pakunkowego i bibuły białej do filtrowania. — produkta fabryki jego w Fajnie, w powiecie żółkiewskim. Papier ten wyrabiany ze szmat, odznacza się ogromną siłą, na dowód czego zawieszono u dołu cienkiego arkusza ciężar 56 klg. ważący. Papier ten posiada jeszcze i tę zaletę, że się nie łamie, jak inne tego rodzaju papiery, wyrabiane z drzewa. Również znakomitą jest fujneńska bibuła filtracyjna, jakoteż tektura introligatorska. Papier pakunkowy z tej fabryki w skutek swej wytrzymałości bardzo jest wzięty, a rząd i wielkie firmy używają go do pakowania zamiast płótna.

Fabryka papieru Bernaczik, Schrötter i Spółka w Żywcu, wystawiła okazy papieru jedwabnego i próbki wyrabianych w tej fabryce tektur.

Lask, Mehrländer i Spka, fabryka papieru w Wadowicach, wystawiła kolekcyę papierów słomianych w różnych barwach, papier z trzciny i kolekcyę papierowych woreczków.

Oprócz zakopańskiej hr. Zamoyskiego, są to wszystkie fabryki papieru w Galicyi, które wzięły udział w naszej wystawie.

Dział ten przemysłu ubogi wprawdzie w liczbę fabryk, ale są one tak wielkie i tak skrzętnie i sumiennie pracują, iż jak już wyżej wspomnieliśmy, zaopatrywują w papier kraj nasz i znaczne transporty wysyłają za granicę.

Pisząc o fabrykacyi papieru, musimy wspomnieć o przedsiębiorstwach, które również wzięły udział w wystawie, a które albo wyrobiony przez fabryki papier przerabiają na tutki, woreczki, ozdobne pudełka, albo też dostarczają do fabrykacyi papieru rozmaitych materyałów.

W fabrykacyi papieru ważną bardzo rolę odgrywa cellulcza. Dawniej istniała u nas wielka fabryka cellulozy w Łomnie pod Turką, która produktem swym zaopatrywała fabryki krajowe i wysyłała go po za granicę. Niestety, fabryka ta upadła przed kilku laty, a do dziś żadne nowe podobne przedsiębiorstwo nie powstało, chociaż racyonalnie prowadzone, obfitymi mogłaby dawać dochody. W okolicach podgórskich u nas drzewo jest bardzo tanie, wyrobiona więc z niego cellulosa za robotę byłaby tanią, mogłaby więc śmiało konkurować z cellulozą wyrabianą w fabrykach zagranicznych. Jestto również jedna z tych gałęzi przemysłu, które niewiadomo dla jakich przyczyn są zaniedbane, a które wprowadzone w życie i rozsądnie kontynuowane, znacznie przyczyniłyby się do podniesienia ruchu ekonomicznego w naszym kraju.

Wśród przedsiębiorstw przerabiających papier wyrobiony w naszych fabrykach, pierwsze miejsce należy się fabrykantowi tutek cygaretowych p. Stefanowi Wierusz Niemojowskiemu. Zaczął on od małego. Z początku wyrabiał tutki cygaretowe ręcznie, dziś pracując ustawicznie z żelazną wytrwałością, rozwinął swój przemysł, postawił go wysoko i dziś wyrabia codziennie na maszynach milionowy tutek, któremi zasypuje kraj cały i zagranicę, wywozi je do Bułgaryi, Czech itd. On pierwszy również począł wyrabiać w kraju tak zwane tutki niklejone. Wyroby jego są bardzo dobre i tanie; położył on wielką zasługę przez to, że wyrugował tutki zagraniczne, które do niedawna jeszcze przeważały w kraju; przez to przyczynił się do tego, że znaczne sumy, które za tutki wychodziły za granicę, pozostają w kraju i dają możność egzystowania wielu robotnikom i robotnicom, zajętym przy fabryce p. Niemojowskiego. Na wystawie, we własnym pawilonie, umieścił p. Niemojowski maszynę poruszaną motorem, na której w oczach widzów wyrabia niklejone tutki cygaretowe. Obok p. Niemojowskiego istnieje we Lwowie druga wielka fabryka tutek J. A. Elstera, która również bardzo pomyślnie się rozwija i dobry wyrabia towar. Fabryka ta założona została w roku 1886 i dziś zatrudnia przeszło 30 ludzi.

Ozdobne wyroby z papieru wystawił p. Ludwik Głowacki ze Lwowa; są to pudełka kartonowe różnych fasonów i rozmiarów, bombonierki itd. Fabryka kartonaży p. Głowackiego, założona w r. 1879, znajduje się na Zamarstynowie. Wyroby p. Głowackiego są bardzo eleganckie i ozdobne i doprawdy zasługują na to, aby się nimi zaopatrywali w każdej cukierni, [illegible] nie sprowadzali z zagranicy, [illegible] dzeniem rywalizować mogą z pudełkami francuskiemi i niemieckiemi, za które bajońskie płacić musimy sumy. Obowiązkiem kupców naszych powinno być w pierwszej linii wspierać przemysł krajowy. Ceny umieszczone na pudełkach wyrobu p. Głowackiego zadziwiają swą niskością.

P. Gieszkowski, fabrykant we Lwowie, nadesłał na wystawę maszynę do wyrobu woreczków papierowych. Fabryka ta, istniejąca we Lwowie od kilkunastu lat, bardzo szczęśliwie konkuruje z importem zagranicznym i z sukcesem, w skutek dobroci swych wyrobów i [illegible]. P. Ludwik Grudziński z Krakowa nadesłał bardzo ładne biusty, medaliony i płaskorzeźby z masy papierowej — piękne są płaskorzeźby z masy imitujące do złudzenia brąz prawdziwy — pp. Seyfarth i Dzybucki przedstawili wzory kartonów i papieru, tudzież [illegible] bombonierki, [illegible] obrazy [illegible] gospodarki, inwentarze żywego i martwego. — Wszystkie przedmioty wystawione przez tę firmę, odznaczają się elegancyą, wytwornością i gustem.

To są wszystkie galicyjskie firmy, które wzięły udział w wystawie w grupie XIX. [illegible] wyroby z niego, tutki, pudełka itd. Oprócz atoli firm galicyjskich znajdujemy w tej grupie także okazy firm warszawskich i węgierskich. I tak: Gal. [illegible] Towarzystwo handlowe przedstawia [illegible] papieru zwykłego i listowego, bibułki cygaretowe z fabryki St. Natansona w Warszawie, a [illegible] papier fotografie z fabryki K. Thiesa w Warszawie.

Z firm węgierskich — Wörszer i Spółka wystawili maszyny do fabrykacyi papieru i tektury, József Schuller papier „Indigo“ do pakowania (kopiowania), rozmaitego kolorowe, Szilard Mór chemiczne papiery do pakowania, poligraficzny papier woskowy i ceratowy, papier niebieski do farbowania bielizny, papier grafitowy i olejowy do pauzowania. Wszystkie te trzy firmy pochodzą z Budapesztu, a wyroby swe zamieściły w pawilonie węgierskim.

* * *

W Turce pod przewodnictwem burmistrza p. Seweryna Brysiewicza zawiązał się komitet celem wysłania dziatwy szkolnej na wystawę.

Wycieczkę włościan z Górnego Szląska organizują redakcye: *Nowin Raciborskich* i *Gazety Opolskiej*. Wycieczka ma przybyć do Lwowa dnia 21 b. m.

Wczoraj zwiedziło wystawę 4131 osób, panoramę 578, pałac sztuki 411, mauzoleum Matejki 369 osób.

KRONIKA.

Lwów 9 sierpnia.

Z Węgrami. Siedliśmy do śniadania. W pięknej sali muzycznej, przybranej w zieleń i kwiaty ustawiono 6 stołów. Biesiadujący podzielili się na grupy. Przy jednym stole usiedli trzej ministrowie, obok nich pp. St. hr. Badeni, dr. Bobrzyński i dyrektor Marchwicki, przy innych dygnitarze, którzy przybyli z ministrami i członkowie dyrekcyi wystawy; trzy stoły zajęli dziennikarze węgierscy i lwowscy.

Żywa toczyła się pogadanka. P. Wekerle gorąco rozprawiał z p. Bobrzyńskim, p. Marchwicki objaśniał coś ministrowi handlu p. Lukacsowi. Wszyscy widocznie są bardzo zaanimowani rozmową; twarze ich ożywione, uśmiechnięte, ruchy żwawe; każde wymówione słowo popierają wymownemi gestami.

Wśród dziennikarzy również wesoło. Toczy się ożywiona rozmowa o Lwowie, wystawie i o przyszłej wycieczce do Pesztu na światową wystawę w roku 1896. Nasza wystawa bardzo się podobała węgierskim dziennikarzom, o Lwowie mają tylko wyrazy uznania — a nas proszą gorąco, byśmy w r. 1896 do nich przybyli i zechcieli zobaczyć ich turniej przemysłowy.

W tem zagrała cygańska muzyka. Zabrzmiały te melodyjne a dzikie tony czardaszu, zdające się targać każdą niteczką nerwu, pełne jakiejś niepohamowanej namiętności, a zarazem brzmiące niekiedy w niektórych tonach żałośnie, jak skarga jaka. Tony skrzypiec, wiolonczeli i basów przeplatają cymbały. Można nie zachwycać się czardaszem, ale każdy przyznać musi, że jest on oryginalny, pełny życia, czuć w nim ową gorącą krew Madjara, niepohamowaną gwałtowność, życie nerwów.

Trzeba było widzieć twarze dziennikarzy węgierskich, gdy zabrzmiały pierwsze tony cymbałów, a dalej w zgodny wtór z niemi wpadły skrzypce i basy i o strop sali odbiła się nuta czardasza. W jednej chwili oczy Węgrów nabrały jakiegoś niezwykłego blasku i ognia, zdawało się, iż przez ciało ich przeszedł prąd elektryczny, a nogi ich mimowoli zaczęły wybijać takt czardasza. Puściliby się w taniec z pewnością — gdyby nie to, że siedzą przy uczcie oficyalnej.

Najgorętszy wśród tych pracowników pióra, najmłodszy z nich, Ernest Brody, z redakcyi *Magyar Hirlapa* w Peszcie. Brunet, średniego wzrostu, usta ocienia mu mały czarny wąsik, oczy czarne, pełne ognia. Namiętny wielbiciel muzyki. Chociaż młody jeszcze, w świecie dziennikarskim poważne już zajął stanowisko, a dowcipne jego fejletony, zamieszczane od czasu do czasu w *Magyar Hirlapie*, wielką poczytnością cieszą się wśród czytelników tego pisma. Obok niego siedzi wysoki, ciemny blondyn, o błękitnych oczach, pięknych wąsach i rzymskim nosie. To Ryszard Mandowsky, redaktor *Magyar Orszagu*, opozycyjnego pisma przeciw węgierskiemu rządowi, autor ciętych artykułów polemicznych.

Trzeci współbiesiadnik wygląda na Słowianina. Blondyn, twarz szeroka, wąs sumiasty, nawet czardasz nie zdaje się na nim robić wielkiego wrażenia. Lecz tylko tak wydaje się: wprawdzie twarz spokojna, ale spojrzyj na jego oczy, ile w nich ognia, zdaje się, iż one chcą wyskoczyć i podążyć ku estradzie muzycznej. Pan ten, to Władysław Berenyi, redaktor półurzędowego *Budapester Hirlapu*. Siedzą obok siebie reprezentanci dwóch wrogich sobie dzienników: Mandowsky opozycyonista i Berenyi stronnik rządu — zgoda jednak między nimi panuje i przyjaźń braterska. Przekonania ich polityczne mogą być różne, szanować się jednak mogą, jako ludzie honoru.

Wreszcie siedzi jakiś już starszy człowiek. Włosy na głowie i krótko strzyżoną pełną brodę przyprószyła siwizna. Wzrostu niskiego, krępy nieco, nie zwraca na siebie szczególniejszej uwagi, a jednak to mąż w całych Węgrzech znany, to poeta Kerekes. Posiada ogromną łatwość w wierszowaniu, a jak nam opowiadali węgierscy dziennikarze, potrafi improwizować całemi godzinami

Dziarskie tony muzyki płyną po sali. Przy jednych stołach rozprawiają poważnie, przy innych wesoło i żywo, brzęczą kielichy — coraz głośniej rozbrzmiewają okrzyki: „Eljen a Magyar Orszag!“ „Eljen a Lengyel!“, „niech żyją Węgrzy!“, „niech żyją Polacy!...“

Śniadanie się kończy. Wstajemy. Goście otaczają gospodarza dra Marchwickiego — ściskają mu ręce... Znowu raz po raz odzywa się „Eljen a Magyar Orszag!“ — i wnet jakby echo: „Eljen a Lengyel!“— Wziąwszy się pod ręce idziemy wszyscy do pawilonów.

Zwiedzamy kolejno halę maszynową, pawilon ministeryum skarbu, pawilon węgierski i potem łowiecki. W pawilonie węgierskim zaczynamy się ważyć. P. Wekerle waży 118 klgr., St. hr. Badeni 113, dr. Marchwicki 96, minister Lukacs 95, p. Korytowski 94, a minister Jossipowicz 86 klgr. W pawilonie łowieckim p. Romanowicz pokazał plastycznie przedstawioną mapę „Morskiego Oka“ i wyjaśniając przebieg sporu o granice, dowodził, iż dzieje się nam krzywda. P. Wekerle oświadczył, iż obecnie sprawą tą zajmuje się komisya, która z pewnością spór sprawiedliwie rozstrzygnie.

O godzinie 2 udali się goście do miasta, skąd o godzinie 4 wrócili na wystawę.

Po południu zwiedzili ministrowie dział etnograficzny, po którym oprowadzał ich prof. Szuchiewicz, dział nafciarski, gdzie im objaśnienia dawali pp. Gorayski i Marchwicki i pawilon Górnego i Pilarskiego, gdzie węgierskim koniakiem spijaliśmy zdrowie dwóch sąsiadujących ze sobą narodów: węgierskiego i polskiego.

O godzinie 5 odbył się w restauracyi francuskiej obiad na cześć ministrów, dany przez St. hr. Badeniego. Do stołu oprócz ministrów zasiedli p. namiestnik, St hr. Badeni, pp. Dawid Abrahamowicz, Marchwicki, Bobrzyński, Dembowski, członkowie dyrekcyi i w. i.

W czasie uczty wzniesiono trzy toasty. Hr. St. Badeni, zapowiedziawszy, iż Polacy odwiedzą Węgrów w r. 1896 podczas wystawy, wzniósł toast: Naród węgierski niech żyje! Na toast ten odpowiedział po niemiecku p. Wekerle. Podziękował za przyjęcie, oświadczył, że go do Lwowa sprowadziła nietylko sama sympatya, jaką Węgrzy żywią dla Polaków, lecz także chęć zawiązania przyjacielskich stosunków. Zaznaczył, iż cieszy się bardzo z postępów i rozwoju, jaki na naszej wystawie zobaczył. Przemówienie swe zakończył toastem na rozkwit i powodzenie narodu polskiego. Trzeci toast wzniósł po węgiersku poseł i redaktor półurzędowego *Nemzeta*, p. Gajari, na cześć obu braci Badenich, a w szczególności zaś na cześć p. Namiestnika, jako idealnego reprezentanta znakomitej administracyi i troskliwego stróża wszystkich interesów kraju, który trzyma rękę na pulsie narodu i dlatego cieszy się tak wielką a zasłużoną popularnością.

Po obiedzie udali się ministrowie Wekerle i Lukacs na dworzec kolejowy i odjechali osobnym pociągiem do Pesztu. Wraz z nimi pojechali także węgierscy dziennikarze. Minister Jossipowicz pozostał jeszcze we Lwowie.

Oburzające! *Hałyczanyn* od pierwszej chwili, gdy powstała myśl stworzenia wystawy krajowej, wrogo wystąpił przeciw niej i starał się wszelkiemi sposobami jej szkodzić. Te zabiegi jego nie wydały atoli żadnych rezultatów, bo nawet jego bruźdżenia i nawoływania do opozycyi nie znalazły gruntu wśród Rusinów, gdyż i oni bardzo liczny udział wzięli w krajowej wystawie. *Hałyczanyn* więc pieniąc się ze złości, iż słowa jego przebrzmiały bez echa, stara się wyszukiwać ciągle nowe jakieś sposoby, aby tylko wystawie zaszkodzić, a skutecznym do tego środkiem wydała się mu cholera. Więc trąbi, że w Galicyi cholera mocno się rozszerza, że sporo codziennie pochłania ofiar i że nawet już zawitała do Lwowa, a tylko „panowie polscy“ starają się ją ukryć, bo niech chłop ruski ginie, byle powiodła się polska wystawa!

Owóż poinformowawszy się dokładnie u władz sanitarnych, stwierdzić możemy, iż wszelkie pogłoski rozsiewane o wybuchu cholery we Lwowie są jak najzupełniej bezpodstawne, wyssane z palca. Żadnego wypadku podejrzanego we Lwowie nie było. Bylibyśmy tej sprawy zupełnie nie poruszali, gdyby nie to, że oprócz *Hałyczanyna* istnieją jeszcze pewni ludzie, którzy nietylko rozmyślnie rozgłaszają wieści o cholerze we Lwowie, ale nawet te fałszywe pogłoski telegrafują do Pesztu i starają się powstrzymać wycieczkę węgierską. Wskutek tego postępowania owego grona osób panuje wśród mieszkańców Lwowa ogromne oburzenie!

Dr. Opolski, który przed dwoma dniami po spożyciu grzybów niebezpiecznie zachorował na nieżyt żołądka, ma się już znacznie lepiej.

P. Stanisław Reichan, artysta malarz i ilustrator pism francuskich, zaręczył się w tych dniach z panną Ireną Metzgerówną, córką znanego u nas jenerała, komendanta domu inwalidów w Wiedniu.

† Ks Mikołaj Siczyński, jeden z wybitnych posłów ruskich, umarł wczoraj w Stopczatowie w powiecie kołomyjskim. Zmarły reprezentował w Sejmie zbarazki okręg mniejszych posiadłości.

Koledzy śp. Łucyana Kwiecińskiego zawiązali komitet, który ma drogą składek zebrać fundusz na wzniesienie znakomitemu artyście pomnika na jego grobie w Iwoniczu, oraz wmurowanie pamiątkowej tablicy w jednym z kościołów lwowskich. Do tego komitetu należą pp. Fiszer, Walewski, Żelazowski i Woleński. P. Roman Lewandowski, znany artysta-rzeźbiarz, podjął się bezinteresownego wykonania pomnika za zwrotem kosztów.

Święcenie niedzieli. Dwanaście jubilerskich i zegarmistrzowskich firm we Lwowie, a mianowicie: Józef Badowski, Julian Dąbrowski, Wacław Grabiński, Jan Jarzyna, Józef Komorowski, Jan Krise, Tadeusz Miłaszewski, Julian Strzelecki, Konrad Schneikart, Sebastyan Wędrychowski, Stanisław Woźniak, Karol Völker i syn postanowiło zamykać sklepy w niedzielę. Jest to zatem pierwszy widoczny rezultat znanej akcyi w sprawie święcenia niedzieli. Z jubilerów i zegarmistrzów powinna wziąć wzór reszta naszych kupców i przez zamykanie sklepów stworzyć dla swego personalu konieczny odpoczynek niedzielny, który się tym ludziom przecież słusznie należy.

Pięćdziesięcioletni jubileusz [illegible] Sidolego. Założony w r. 1844 [illegible] dyrektora śp. Teodora Sidolego [illegible] przedstawienia we Włoszech, [illegible] przeniósł pole swej działalności na wschód [illegible]py. Miasto Lwów było zawsze ulubionem dla rodziny Sidolich, a nawzajem cyrk ich cieszył się tu zawsze wielką sympatyą. Dzisiejszego dyrektora p. Cesara Sidolego pamiętają tu wszyscy jeszcze młodym chłopakiem, gdy swą zręcznością i niezrównaną jazdą wprawiał wszystkich w zdumienie. Dziś, dźwigając na swych barkach ciężkie brzemię dyrektora, rzadziej już popisuje się swemi dawnemi sztukami, tem gorliwiej jednak oddaje się tresurze koni, którą doprowadził do możliwych granic doskonałości. Z okazyi tego jubileuszu odbędzie się dziś w cyrku wspaniałe przedstawienie z wyszukanym programem.

Korzystając z wystawy, także partya socyalistyczna lwowska zwołała zjazd na 12go do 16go sierpnia. W program tego zjazdu wstawiono manifestacyę na cześć autora marsylianki robotniczej Bolesława Czerwieńskiego. Mianowicie w niedzielę odbędzie się pochód z rynku na cmentarz Łyczakowski i tam odsłonięty zostanie pomnik Czerwieńskiego, postawiony ze składek. Zjazd zakończy się gremialnem zwiedzeniem wystawy.

Kolonia wakacyjna chłopców w Hrebenowie. Otrzymujemy następujący opis: (J. S.) Chociaż urocze góry Hrebenowa i Zełemianki odzywają się trzykrotnem i czterokrotnem echem, jednakowoż nie było dotychczas echa o kolonii, zdawałoby się więc, iż nie istnieje. Ale tak nie jest. Kolonia chłopców wyjechała w tym roku dopiero 25 lipca, opóźniwszy się wskutek rozmaitych zjazdów, w których nauczyciele brali udział, a zabawi tu do 25 sierpnia, tj. cały miesiąc. Kierownictwo nad chłopcami objęli pp. Urbanek, Jaworski i Moos z dyr. Piórkiewiczem na czele. Już dziś skonstatować można, jaki wpływ wywiera kolonia na kolonistów. Świeże powietrze, umiarkowany ruch, zdrowa kąpiel, zabawy w gronie rówieśników, a szczególnie smaczne i pożywne potrawy sprawiły, iż zwiędłe i blade twarzyczki chłopaków zabarwił rumieniec, usta stały się purpurowe, a oczy nabrały żywszego blasku.

Oprócz małych wycieczek, jakie koloniści urządzają, odbyła się duża wycieczka na prześliczną górę Horyń. Wycieczka taka bez starannych przygotowań odbyć się nie może. Wydobywa się więc apteczkę kolonijną, w której się znajdują rozliczne lekarstwa, przydatne w nagłych wypadkach. Kuchnia pracuje od świtu, by przysposobić drugie śniadanie, koloniści oglądają ubranie i buty, inni sporządzają krypcie, wzmacniają rzemyki itd. jednem słowem ruch i gwar, jak w przededniu bitwy. Przygotowania ukończone, porucznicy uszeregowali plutony, ustawione czwórkami, głos trąbki, warczenie bębna, rozpoczyna się pochód. Kto był w Szwajcaryi, a następnie odbywał podróż z Hrebenowa przez Zełemiankę do Tuchli, ten nie zaprzeczy, że widoki tutejsze przypominają Szwajcaryę w miniaturze. Właśnie drogą do Tuchli rozpoczął się pochód kolonistów. Cisza w około, przerywana tylko odgłosem dalekim siekiery, szelestem przelatującego ptaka, lub silniejszym oddechem. Koloniści milczą, jak gdyby chcieli nabrać sił do dalekiej wycieczki. Od drogi widać za krzyżem ścieżkę na lewo, odzywa się więc komenda „formuj dwójki“, później jedynki, kapitan skręca na ścieżkę, za nim koloniści, rozpoczynając u skraju lasu studencką piosnkę: „Hej wakacye, to rzecz miła, wyśmienita rzecz, już nauka się skończyła i zabawę dziś nam zsyła, książki idźcie precz“.

Ginie w końcu i piosnka, powtarzana echem gór i lasów zielonych, droga bowiem staje się coraz trudniejszą. Tu dopiero początek hałasu, śmiechów i karambolów. Jeden się pośliznął i sunie się na dół, drugi leży na ziemi, mocniejsi ciągną słabszych, a wszystko pod okiem baczuych nauczycieli — którzy niejednokrotnie sami potrzebują pomocy, a niejeden przewróciwszy się, sprawia tem chłopakom niewymowną radość.

Siły kolonistów nie zmniejszają się, owszem potężnieją. Przeszkody jak: stare kłody, płoty, rowy, płynące z gór strumyki, podwajają siły, pot kroplisty ścieka po czerwonych buziakach, ten i ów staje i narzeka, lecz zawstydzony z pewnym uporem postępuje naprzód. Las rzedzieje, widnokrąg szerszy, kończy się góra okryta lasem, a pokazuje się polanka z puszystą murawą. Tu kres i cel wycieczki. Jakiż prześliczny przedstawia się stąd widok! Z jednej strony Zełemiń, z drugiej Diłok, góry gęsto świerkami i sosnami pokryte, u stóp srebrzysta struga Zełemianki, w oddali Opór, a dalej jakby na zakończenie panoramy, potężny graniczny łańcuch Karpat. Na takiem tle odbyło się śniadanie utrudzonych prawie 3-godzinnym pochodem kolonistów, którzy, wypocząwszy, raźnie i zdrowo powrócili do domu, gdzie czekał już na nich smaczny obiad.

Wystawa przemysłowa w Poznaniu 1895. Jak donoszą z kompetentnego źródła, zostały dotychczasowe zabiegi komitetu wystawy pomyślnym uwieńczone skutkiem. Podpisy na fundusz gwarancyjny doszły w samym Poznaniu do tej wysokości, że nie ma najmniejszej obawy, aby z tej strony przyjście do skutku wystawy mogło być zakwestyonowanem. Również nadeszły już i nadchodzą liczne zgłoszenia bardzo poważnych wystawców, tak, że już teraz widać, że wystawa przybierze

124)

WOJCIECH DZIEDUSZYCKI.

ŚWIĘTY PTAK.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

(Ciąg dalszy).

Mautmur nie był wprawdzie przełożonym innych ministrów, z którymi miał jedną rangę służbową, a odstępywał nawet w publicznych wystąpach pierwszeństwo ministrowi rolnictwa, naczelnemu wodzowi wojska, przezwanemu Głosem Faraona, a będącemu zazwyczaj księciem krwi, naczelnikowi duchowieństwa, to jest arcykapłanowi, czyli Wielkiemu prorokowi i wreszcie Starszemu kapłanowi, to jest ministrowi oświaty, zajmującemu zaraz pierwsze miejsce po królu; ale nie mniej przeto miał ich wszystkich pod swoim nadzorem, za pomocą swojej tajnej policyi, którą Psametych kierował umiejętnie i donosił o tem Faraonowi, jeżeli mu się tylko coś w ich zarządzie podejrzanem wydało. Cięższa jeszcze i istotnie straszliwa odpowiedzialność ciężyła na barkach Wielkiego pisarza; gdyby kiedy dostrzegł, że sam Faraon sprzeciwia się prawom, albo zamach na nie gotuje, miał zaprzysiężony obowiązek donieść o tem kapłanom i zażądać od nich klątwy, któraby króla władzy pozbawiła. Myślano przez długie wieki, że przysięga w tej mierze złożona przez Wielkiego pisarza jest czczą formalnością, ale wypadki lat ostatnich przekonały wszystkich, że Amazys I, odnowiciel państwa, postąpił sobie roztropnie żądając, aby pierwsi ministrowie jego następów taką przysięgę składali i sam Mautmur dał dowód tego, że Wielki pisarz mógł być zbawcą narodu.

Jak długo Amenhotep IV poprzestawał na tem, że sam zaniedbał czci bogów i że hołdował obcemu obyczajowi w swojej nowej rezydencyi Pa-Aten, cierpiał to Mautmur, który otrzymał swój urząd właśnie w chwili wstąpienia na tron Amenhotepa. Ale kiedy Matmur dostrzegł, że Faraon gromadzi dokoła siebie barbarzyńskie wojska, celem przewrócenia religii Egiptu, doniósł o tem w czas kapłanom i sprawił, że starsi mogli wraz z nim ujść do Etyopii i tam przygotować powstanie patryotyczne, które wydarło barbarzyńcom panowanie nad Egiptem. Mautmur był tedy mężem ogromnej powagi i zasługi w Egipcie i mógł być pewnym, że umrze na swoim wysokim urzędzie, a to tem pewniej, że sprawował ten urząd z wyrozumiałością i umiarkowaniem, zgodnemi z usposobieniem Faraona, unikając wszystkiego, coby mogło się wydać narodowi uciskiem, albo ukróceniem odwiecznych wolności, przestrzegając jawnie wszystkich form prawa, a usuwając skrycie, ale tem skuteczniej, polityczne niebezpieczeństwa.

Wiemy o tem, że rząd egipski nie dowierzał wcale załogom zaciężnych Europejczyków, że ich się lękał, że nie miał odwagi karać otwarcie ich wybryków, ale że karał je istotnie, podstępnie a srodze. Nie będę się nad tem zastanawiał, czy obrany system był rozumny, ale ten system był wyrazem ogólnej niejasności polityki egipskiej względem tych zaciężnych, którym nie śmiano rozkazywać, których się lękano, których nienawidzono, których utrzymywano różnemi sztuczkami w jakiem takiem posłuszeństwie, a w których widziano wewnętrzne niebezpieczeństwo, ale równocześnie niejaką rękojmię tego, że bohaterowie Północy, mogąc znaleść suty żołd u Faraona, zaniechają łupieżnych napadów na Egipt i przyzwyczają się zwolna do uznawania panowania Faraona nad światem.

Niepokój w tajnym oddziele Wielkiego domu Faraona, jak się ministerstwo egipskie spraw wewnętrznych nazywało, wzrastał od niejakiego czasu, bo to, że Hebrajczycy i żołdacy coś wspólnie knuli, nie uszło uwagi Psametycha, a Mautmur był o tem przestrzeżony. Wiedziano, że coś się złego dzieje, domyślano się przygotowań do nowego buntu, ale nie miano żadnej pewności. Podwajano tedy baczność, nie postanowiono żadnego działania, nie uwiadomiono nawet Ramzesa o niczem, nie chcąc króla alarmować obawami, które się mogły jeszcze okazać płonnemi.

W biurach nie było tedy żadnego nadzwyczajnego ruchu, kiedy Abibaal wszedł do pokoju zajętego przez jednego z podrzędnych urzędników tajnej kancelaryi i kiedy oświadczył jak się nazywa, że jest szafarzem Amenemhy i że ma nadzwyczaj ważne rzeczy powiedzieć Psametychowi. Urzędnik mówił zrazu, że Psametych jest bardzo zajęty i że nie ma czasu dawać audyencyi, ale kiedy Abibaal powtórzył kilkakrotnie, że tu chodzi o zbawienie państwa i że sprawa żadnej nie cierpi zwłoki, kazano mu czekać w jednej z sieni ministeryalnego gmachu, a urzędnik poszedł uwiadomić Psametycha o żądaniu Abibaala.

Szafarz czekał dość długo w dużej izbie o kaflowej posadzce, na której rząd pisarzy siedział na piętach, zapisując zwitki papirusu wedle dyktanda urzędnika. W ten sposób gotowano od razu kilkadziesiąt równobrzmiących rozporządzeń, które wysyłano potem równocześnie wszystkim naczelnikom powiatów egipskich.

Godzina minęła, zanim Abibaala powołano do małego pokoju, pięknie umeblowanego, w którym Psametych siedział pośród stosów pism urzędowych, Psametych, krępy i śniady Egipcyanin, utkwił małe, bystre oczy w twarz Abibaala, stojącego przy drzwiach i spytał się sucho:

— Mów, z czem przyszedłeś, a uważaj abyś nie kłamał, bo za kłamstwo srogiej ulegniesz karze.

Szafarz wcale się nie zmięszał i odpowiedział śmiało:

— Rzecz z którą przyszedłem, jest największej doniosłości dla Egiptu. Od jej wyjawienia zależy nietylko spokój kraju, ale także może bezpieczeństwo tronu Faraonowego. Odemnie zależy wyjawienie, albo utajenie rzeczy i nie powiem, jeśli nie będę wiedział, że mam słuszny powód do mówienia. Jeżeli Pan mój sądzi, że ze mną trzeba się obchodzić jak z żebrakiem, albo z natrętem, umilknę i odejdę sobie, a pozostawię Egipcyan ich własnemu losowi. (C. d. n.)

rozmiary, których się pozatem nie spodziewano. Nad[illegible] także zgłoszenia wystawców z Księstwa i z [illegible] prowincyi, świadczące o żywem zainteresowaniu się wystawą.

Ochrona przed wywozem. Z Petersburga donoszą, iż wkrótce już wejdzie w życie ustawa, mocą której nie będzie wolno wywozić za granicę żadnych zabytków starożytnych bez pozwolenia komisyi archeologicznej, lub jej odpowiedzialnych członków korespondentów, którzy w pewnych wypadkach będą mogli wydawać pisemne pozwolenie na wywóz danego przedmiotu za granicę, w wątpliwych zaś wypadkach odwołają się do całej komisyi. Ajenci do skupywania starożytności, przybywający do państwa rosyjskiego, będą musieli podpisać deklaracyę, iż bez zezwolenia nie wywiozą żadnego przedmiotu.

Dwaj cykliści z Ameryki. Teofil Kościołek i Walter Dort, który przybyli do Lwowa na wystawę, wybierają się dziś na rowerach do Jezupola i Stanisławowa, poczem zamierzają zwiedzić Powiśle, Wieliczkę, Kraków, Częstochowę i Warszawę, zkąd na Poznań, Berlin i Bremę udadzą się do Londynu, a z Londynu do Liverpoolu. Z portu tego wrócą okrętem do Nowego Jorku. Walter Dort, 16-letni młodzieniec, jest synem aptekarza w Buffalo. Kościołek jest zawiadowcą drukarni.

Z „Lutni". Nadzwyczajne zebranie członków chóru męskiego odbędzie się w piątek 10 bm. o pół do ósmej wieczorem.

Pożar. W Hornoku w powiecie drohobyckim, spaliło się jedenaście zagród włościańskich wraz z zapasami zboża i siana. Szkoda wynosi ogółem 13.000 zł. a tylko pięć zagród było ubezpieczonych na kwotę 3470 zł.

Pożar w kopalniach Karwińskich, głośnych z niedawnej katastrofy, szerzy się ciągle i potrwać może jak twierdzą znawcy, jeszcze kilka lat.

Proces o oszustwo. Przed sądem wiedeńskim rozpoczął się proces o oszustwo i wyłudzenie pieniędzy do 10.000 zł., tak podobny do zamożnych innych spraw tego rodzaju, których widownią bywają wielkie miasta, że niewarto byłoby o nim wspominać, gdyby nie to, że oskarżeni z nazwiska przynajmniej są niestety Polakami. Stają bowiem przed sądem Hiacynt i Balbina de Jaxików Baranowscy. Matka ich Antonina z Trzcińskich powiła ich, kiedy jeszcze była zamężna po raz pierwszy z piekarzem Knollem, lecz dopiero kiedy po śmierci Knolla wyszła za Kazimierza Baranowskiego, ochrzciła i wpisała do metryk jako dzieci ślubne obudwu chłopców, z których starszy liczył już lat 16, a młodszy 10. Kazimierz Baranowski, umierając, wydziedziczył starszego syna Hiacynta, którego wychowanie kosztowało 12.000 zł., i żonę, jako oszustów, [illegible]. Majątek pozostały, około 14.000 zł. w walutach, który trzeba było wyprocesować, zapisał Bolesławowi. Położenie więc finansowe Baranowskich było niewesołe, a przecież żyli oni wykwintnie, stroili się, jeździli powozami. [illegible] Hiacynt z matką aresztowany był pod zarzutem oszustwa, a także kradzieży, ale jakoś uszli kary, przedstawiając się jako pośrednicy do sprzedaży dóbr, domów itd. Kiedy się wyczerpały źródła pieniędzy w Wiedniu, przeniesiono pole działania za granicę i dopiero w roku 1891 synowie powrócili do Wiednia. Wrzekomy spadek odstąpił Hiacynt niejakiemu Karolowi Hochegerowi, zyskując w zamian również problematyczny tytuł właściciela kamienicy, obciążonej ponad wartość i zasekwestrowanej. Tytuł ten służył tylko do ułatwienia operacyi. Zaczęło się znów jeżdżenie powozami, życie na kredyt i za pieniądze [illegible], albo pożyczone [illegible] przed kratki sądowe. Tłumaczą się oni, jak poprzednio, że przeprowadzeniem sprzedaży dóbr spodziewali się tyle zarobić, iż byliby popłacili wszystko; lecz nie wiadomo, czy ten środek obrony i tym razem poskutkuje.

Abbas basza. Piszą nam z Wenecyi: Młody kedyw Egiptu bawił tu przez ostatni tydzień i używał kąpieli morskich. Jakkolwiek nikt z władców nie stanął w żadnym z hoteli, lecz zamieszkał na swym statku, stojącym blisko brzegu, w Bacino San Marco, krążył jednak ustawicznie po mieście, czyniąc liczne zakupy po wielu sklepach i wracając na noc do jachtu [illegible] strojem wschodnim. Powiadają, iż kedyw [illegible] sprawia wrażenie [illegible], co zgadzałoby się z pogłoskami o [illegible] związki małżeńskie. [illegible] pakami, a nie ma obawy przepełnienia tego pływającego pałacu, wbrew bowiem doniesieniom dzienników, które pisały o przybyciu kedywa na jachcie, statek jest ogromnym kolosem. Nosi on nazwę „Maronesa", [illegible] i imponująco. Co wieczór po zachodzie słońca, [illegible] światła elektryczne [illegible] „Maronesa". [illegible]

„Samowozy." Jaką rolę społeczną może odegrać [illegible] Petit Journal. Pismo to w roku zeszłym wywołało wyścig pieszy. Sprawa sama przez się niewielka. W każdym razie przekonała ludzi wystrzegających się ruchu jak trucizny, że człowiek może jednym ciągiem przejść kilkadziesiąt kilometrów, bez narażenia się, owszem z pożytkiem dla zdrowia.

Widząc, że się udała zabawa, Petit Journal pomyślał o rzeczy poważnej i ogłosił konkurs. Zgadnijcie, na czem [illegible]?

— Nie potrzebuję zgadywać, bom czytał — mówi pan czytelnik. — Był konkurs na wynalezienie najlepszego motoru, [illegible] powozu, bryczki i wozy po zwykłej drodze.

Wyraz „zwykłej" drogi nie oznacza tak zwanej „polskiej" drogi, ta bowiem jest drogą nadzwyczajną. Takich zaś „artercyi komunikacyjnych" jest w naszym kraju pełno.

Motor, ciągnący wozy na zwykłych drogach!... Czy pan dobrodziej pojmujesz całą doniosłość podobnego wynalazku?

— Pojmuję — przerywa czytelnik. — A naprzód podobny motor nie będzie wynalazkiem „nowym", ludzie bowiem już od kilkudziesięciu lat nietylko o nim myśleli, ale go nawet budowali. Wszystkie jednak te motory były za ciężkie i na zwykłych drogach łatwo się psuły z powodu wstrząśnień. Niemniej jednak — mówi dalej czytelnik — motor taki byłby bardzo użytecznym. Zamiast owsa i siana jadałby węgiel lub naftę, co jest tańsze. Niepotrzebowałby woźnicy, nie stawałby do końskiego popasu, obywałby się bez weterynarzy, nie lękałby się: zołzów, ochwatu, nosacizny, kolek itd. Nareszcie nie udręczałby kopytami i nie ponosiłby kiepskich jeźdźców.

To powiedział czytelnik.

Z wielkim smutkiem widzimy, że od pewnego czasu czytelnicy umieją daleko więcej, niż my, ich „przewodnicy" dziennikarscy. I jeżeli tak dalej pójdzie, doczekamy epoki, że nasi czytelnicy sami zaczną pisać gazety, a my za karę dotychczasowych grzechów będziemy je musieli czytać i jeszcze opłacać prenumeratę.

To zrobił paryski Petit Journal. Na jego wezwanie (ma przeszło stotysięcy czytelników), stanęło na placu przeszło 26 motorów, opalanych węglem lub naftą, albo poruszanych elektrycznością.

Podobno na widok tych potworów, ujeżdżających po 18 kilometrów na godzinę, konie cugowe dostawały migreny i spazmów. Ale to konie dorożkarskie, chłopskie i żydowskie podnosiły oczy do nieba i wzdychały:

— Dzięki Bogu! nie będziemy już pracowały o głodzie i chłodzie... Nie będziemy otrzymywały plag za pomocą batów i drągów... Nie będziemy ślepy w ciemnych stajniach, ani na zranionych piersiach nosić niezgrabnych chomąt.

— W zamian za to pójdziecie do jatki — rzekł im na to jakiś znawca serc ludzkich.

Czy zostanie kiedy wynaleziony motor, któryby zastąpił konia, i to nietylko na dobrych szosach, lecz także na drogach bocznych, polach i ścierniskach? Czas pokaże.

W każdym razie *Petit Journal* ma zasługę, że poruszył tę sprawę, a może nawet popchnął ją naprzód.

W lecie roku bieżącego upływa właśnie 50 lat od czasu, jak Papież Leon XIII-ty, wówczas jeszcze monsignor Joachim Pecci, nuncyusz apostolski w Brukseli, należał w poczet gości kąpielowych w Ostendzie, gdzie parę tygodni w sierpniu r. 1884 spędził. Fakt ten przypomniał dr. Lapponi, lekarz przyboczny Ojca św., w rozmowie z redaktorem *New Jork Heralda*, który wskutek ostatnich niepokojących pogłosek przybył do Rzymu dowiedzieć się o zdrowiu Papieża. „Jedną z najosobliwszych właściwości Ojca św., — tak mówił dr. Lapponi, — jest jego nadzwyczajna pamięć. Wypadki swego życia, z przed lat, więcej, niż pięćdziesięciu, pamięta Papież dotąd wybornie z najdrobniejszemi szczegółami. Właśnie przed paru dniami opowiadał mi, iż w roku 1844, za pobytu jego w Brukseli, ówczesny lekarz miejscowy, dr. Nisserhoeven, zalecił mu kuracyę wodną, którą dzisiejszy Ojciec św., a ówczesny nuncyusz apostolski, prowadził pod kierunkiem dra Triarda". Kuracya ta, według słów Papieża, tak mu dobrze posłużyła, że dla uzupełnienia jej pojechał wówczas do Ostendy dla kąpieli. „Lubo morze — miał mówić Ojciec św. do dra Lapponi — było wówczas podczas mego pobytu bardzo burzliwe, brałem codzień z przyjemnością po dwie kąpiele i byłem w wysokim stopniu zadowolniony z ich wzmacniającego działania".

Kanał koryncki, otwarty przed rokiem (6 sierpnia 1893), o ile się zdaje, nieprędko jeszcze spełni wielkie nadzieje, jakie w nim pokładano, dotąd bowiem żadne z towarzystw żeglugi morskiej nie odważyło się żadnego ze swych statków puścić przez ten kanał. Austryacki Lloyd, mający ze względu na swe podróże wschodnie, największy w użytkowaniu z tego kanału interes, wydelegował w tych dniach rzeczoznawców swoich do zbadania kanału. Sprawozdanie owej komisyi zostało obecnie drukiem ogłoszone. Kanał — powiada ono — poprowadzony został przez warstwy kredy, gliny, wapna i pokłady marglowe. Jakkolwiek roboty murarskie dla ochrony brzegów wykonane zostały zupełnie prawidłowo, obsuwanie się gruntu nie jest jednak wykluczone, albowiem margiel, w skutek nasycenia wodą, okazuje skłonność do rozkładu. Ponieważ zagłębienie kanału na t. zw. zachodniej drodze wynosi tylko 8 metrów, mogą więc przezeń przechodzić statki, zagłębiające się tylko co najwyżej na 7 metrów — i to tylko podczas dnia. Przejazdy nocą muszą jeszcze na pewien czas być wykluczone. Towarzystwo, budujące kanał, nie postarało się też jeszcze o żadną pomoc dla statków, któreby uległy jakiemu nieszczęściu. Sądzić należy, iż sprawozdanie to otworzy oczy kompanii kanału korynckiego.

Błyszczenie gwiazd. W ostatnich czasach marynarka niemiecka i doświadczalna stacya morska w Hamburgu starają się wyciągnąć wskazówki praktyczne z obserwacyi czynionych nad błyszczeniem gwiazd, pozostającem w widocznym związku z rozmaitymi stanami powietrza. Dotychczas nauka stwierdziła następujące fakty, dotyczące błyszczenia gwiazd. Gdy przez lunetę obserwujemy gwiazdę stałą podczas wilgotnego ciepłego wiatru południowego, przedstawia się nam ona jako punkt błyszczący, a światło jej nie drży ani się waha. Wręcz inaczej przy pogodzie mroźnej, poprzedzanej wiatrami wschodnimi lub północno-wschodnimi. Światło gwiazd błyszczy nierównomiernie w rozmaitych kierunkach, raz mocniej, to znów słabiej, a czasami wydaje się, że zupełnie przygasa, często przytem można zauważyć zmianę koloru. Jakkolwiek tę różnicę w błyszczeniu gwiazd dostrzedz można gołem okiem, to jednak zjawisko to w całej rozciągłości obserwować dokładnie można tylko za pomocą lunety astronomicznej. Na podstawie trzydziestoośmioletnich doświadczeń profesor astronomii uniwersytetu w Lozannie, Dufour, twierdzi, że istnieje ścisły związek między blaskiem gwiazd a zmianami powietrza i że słabe błyszczenie zapowiada deszcze i burze.

Okręt napadnięty przez sokoły. Podróżnicy znajdujący się na parowcu „Amoy" w podróży z Chefoo do Hong-Kong, byli dnia 15 maja b. r. o 4-tej po południu naocznymi świadkami następującego dziwnego zdarzenia. Statek otoczyła gromada sokołów siwych, które najpierw rzuciły się na jaskółki znajdujące się na masztach i rejach. Ale wnet powietrzne przybysze zaczęły być zuchwałymi, przelatywały tam i sam ponad pokładem i wreszcie poczęły szturmować do chlewika, gdzie jedna świnka, sześć królików i trzy gołębie żyły ze sobą w zgodzie. Dla ich obrony musiano aż wziąć za broń i kapitan zastrzelił cztery sokoły, inne umknęły. Zastrzelone spadły na pokład a chińczycy zaraz, jeszcze ciepłe je zjedli. W dwie godziny powróciły sokoły w większej liczbie i odważnie poszły do walki, rzucając się nawet na ludzi. Asystentowi maszynisty, który ulitowawszy się nad jakimś ptaszkiem, prześladowanym przez sokoły, wziął go do rąk, rzucały się do oczu. Drugiego sternika zranił sokół silnie w lewe ramię. Kapitan strzelał raz po razu, zabił 24 sokołów a 18 z nich spadło na pokład. O zmroku asystent maszynisty miał sposobność zemścić się na sokołach, kiedy bowiem jeden z nich wypoczywał na pokładzie, asystent wycelował w niego tak dobrze pantoflem, że zabił go na miejscu. Następnego dnia Chińczycy na statku mieli wielką ucztę, zajadając pieczone sokoły.

Piaski lotne w Rosyi. W jednem z pism rosyjskich zwraca niejaki p. Abramow uwagę na nieustanne zwiększanie się obszarów piaszczystych w południowej Rosyi. Przypomina jak to wiele krajów zmienionych w ten sposób zostało w piaszczyste pustynie i obawia się, że los ten także południowej Rosyi zagraża. Pominąwszy wyrąbywanie lasów, wysychanie małych potoków i jeziorek, widzi p. Abramow przyczynę powiększania się obszarów, zajętych przez lotny piasek w uprawie roli, w ten sposób bowiem cienką powłokę gliny lub czarnoziemia rozluźnia, a nawet obnaża się pokłady piaskowe. Z drugiej strony wskutek uprawy ziemi, bydło ograniczone na małe pastwiska drepcze po nich w kółko, niszczy porost trawy i odkrywa piasek. Cała środkowa Rosya nieraz bardzo cierpi z powodu lotnych piasków. Południowo zachodnie wiatry niosą ze sobą masy rozpalonego piasku, który w powietrzu jeszcze się rozdrabnia. Taki wiatr, niosący piasek, dobrze jest znany w gubernii kurskiej, orelskiej, a nawet czasem sięga do polskich okolic, do gubernii Smoleńskiej i nieraz w ciągu jednego dnia niszczy całą nadzieję rolnika.

Most w Nowym Jorku. *Scientific American* donosi, że dnia 18 zm. prezydent Stanów Zjednoczonych podpisał upoważnienie, na mocy którego rozpoczną się wkrótce roboty olbrzymiego mostu na zatoce Hudsońskiej. Most ten połączy Nowy Jork z Nowym Jerseyem. Koncesyę otrzymało Towarzystwo „New York and New Jersey Bridge Company" pod warunkiem, żeby most był ukończony w ciągu lat dziesięciu. Wezwani przez wymienione Towarzystwo inżynierowie całe lata poświęcili sporządzeniu planów mostu według systemu dotąd nigdzie niepraktykowanego. Najnowszy wiszący most na East River, łączący Nowy Jork z Brooklynem — nie bacząc na rozmaite ulepszenia techniczne — okazał się budową nieodpowiadającą już wymaganiom dzisiejszej nauki. Most hudsoński przeznaczony będzie tylko dla pociągów kolejowych. Budowa jego pochłonie piętnaście milionów dolarów.

Zmarli. Emilia z Nagórzańskich Dobrzańska, żona gr. kat. proboszcza w Sokołówce koło Kossowa, umarła w 54 roku życia. — Stanisław Radzikowski, inżynier budowniczy, umarł w Nowym Sączu, przeżywszy 39 lat.

Ofiary. Dla biednej Maryi Lewkowicz otrzymaliśmy: od p. Ł. M. z Mikuliniec 5 zł., od p. Z. R. z Czernichowa 1 zł. i od p. dr. Dobieszewskiego z Marienbadu 1 zł., razem z poprzednio wykazanymi 28 zł. 50 ct.

Stan powietrza. T. o 7 rano + 18, w poł. + 25° R. Barom. 763. Nieruchomy. Upał. Pogoda.

Rezygnacya.

Powiedziałam mu poprostu,
Aby poszedł sobie,
Że go nic to nie obchodzi,
Co z serduszkiem zrobię.
Powiedziałam mu to jeden,
Dwa, trzy, dziesięć razy,
Ale chłopiec wciąż zostaje
Głuchym na rozkazy;
Ciągle pyta: „Dziewczę, powiedz,
Kochasz ty mnie szczerze?
Bo gdy w sercu tkwi wątpliwość,
Aż lęk duszę bierze..."
„Toż ci mówię — rzekę na to —
I powtarzam stale,
Że cię lubię trochę, troszkę,
Lecz nie kocham wcale!"
Na to chłopiec głową trzęsie:
„Kłamiesz, moja mała!
Bo inaczejbyś mówiła,
Gdybyś nie kochała!"
Co tu począć? Chłopak taki
Uparty, zawzięty...
Chyba go już raz pokocham,
By mieć spokój święty...

Odpowiedź Redakcyi. *WP. T. K.* „We śnie czy na jawie?" drukowane nie będzie.

Panorama racławicka na wystawie otwarta codziennie od godziny 8 rano do 8 wieczorem. Wstęp 50 ct.

Literatura i Sztuka.

* **Czternasty zeszyt** wydawnictwa „Oesterr.-ungar. Monarchie in Wort und Bild" zajmuje się w dalszym ciągu opisem Czech. Znajdujemy tu mianowicie artykuły, odnoszące się do zwyczajów i obrzędów czeskiego ludu. W tekście jest kilkanaście ilustracyi.

Głosy publiczności.

Podziękowanie. W nieszczęściu, jakie z woli Najwyższego dotknęło nas przez śmierć ukochanego męża i ojca ś. p. Łucyana Kwiecińskiego, doznaliśmy tyle życzliwości i współczucia od ludzi szlachetnych, że nie będąc w możności wywdzięczyć się w inny sposób, składamy im na tej drodze nasze najserdeczniejsze podziękowanie. Przedewszystkiem Wp. Olesiowi, dyrektorowi zakładu w Iwoniczu, za zajęcie się pogrzebem i otoczeniem śp. Łucyana troskliwą opieką zupełnie bezinteresownie podczas jego pobytu w Iwoniczu. Wp. dr. Ostaszewskim-Barańskim za ich szlachetne trudy i za te szczere słowa pociechy i współczucia w tak ciężkiej chwili objawione, WW. pp. dr. Merczyńskiemu i Dębickiemu, którzy dokładali wszelkich starań i nie zaniechali niczego, co tylko sztuka lekarska posiada, żeby ulżyć nieszczęśliwemu strasznych cierpień w ostatnich dniach życia. Wielebnym księżom dr. Trzuadlowi i przeorowi Fedorowiczowi za łaskawy i bezinteresowny udział w pogrzebie i w ogóle zebranemu w Iwoniczu szan. towarzystwu kąpielowemu za oddanie ostatniej posługi ś. p. mężowi i ojcu naszemu. *Antonina z Podwińskich Kwiecińska z dziećmi,* artystka dramatyczna. Lwów 8 sierpnia 1894.

Wychowawczy zakład dziewcząt pod wezwaniem św. Heleny we Lwowie przy ul. Janowskiej l. 42, prowadzony przez Siostry Felicyanki, przyjmuje za opłatą dziewczątka od lat 6 i wyżej, przeprowadza przez 4 klasy, które ma na miejscu, a równocześnie uczy wszelkiego rodzaju robót ręcznych. Jeżeli kto sobie życzy, zakład obowiązuje się po ukończeniu nauki 4 klasowej posyłać wychowanki do publicznej szkoły do klas wyższych i opiekować się niemi lub w kierunku praktycznym wykształcić w krawieczyźnie, gotowaniu, praniu, prasowaniu, tudzież w gospodarstwie domowem. Dla zdrowia dziewczątka mogą używać świeżego powietrza, gdyż zakład posiada obszerny ogród i kawałek pola. Bliższych szczegółów można zasięgnąć u Przełożonej tego zakładu.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 7 sierpnia.

(Z.) Zdawało się, że i dziś haussa będzie robiła dalsze postępy. Zaraz z otwarciem targu kupowano wiele, a zleceń zakupna z prowincyi było jeszcze więcej, niż wczoraj. Bardzo korzystnie oddziaływała także na tendencyę targu pogłoska, że rząd węgierski już w jesieni zamierza przedłożyć sejmowi projekt ustawy o zniesieniu loteryi liczbowej, a zaprowadzeniu w jej miejsce loteryi klasowej. Podobno prowadzi rząd już w tej sprawie rokowania z bankami peszteńskimi, których akcye skutkiem tego podskoczyły dziś znacznie w cenie. Zwyżka, jaka zapanowała w pierwszem stadyum obrotów giełdowych, nie utrzymała się jednak aż do końca. Targ berliński bowiem założył przeciw niej stanowcze veto i począł zbijać kurs naszych walorów, co dało się dotkliwie uczuć, zwłaszcza, że i marki niemieckie podrożały dziś. Pomimo tego jednak kursa utraciły tylko część porannej zwyżki i zamknięto je wyżej niż wczoraj.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 364·50, węgierskie 452·50, Anglobanki 164·50, Uniony 264·50, Bankvereiny 137·80, Länderbanki 252·50, Ludwiki 216·—, Czerniowieckie 280·75, Elbethale 267·75, Renta papierowa 98·55, srebrna 98·55, austryacka złota 122·35, 4% austr. renta wal. kor. 97·75, węgierska złota 121·70, 4% węgierska renta wal, kor. 96·—, dukat 5·89—, 20-frankówka 9·91—, marki 12·21—, ruble 1·33½.

§ **Wiedeń** 7 sierpnia. Spirytus 16·40—16·60.

§ **Przegląd targu zbożowego.** (Sprawozdanie banku rolniczego). Lwów 9 sierpnia.

Tendencya niezmienna, usposobienie nadzwyczaj słabe.

Dziś notujemy za 100 kilogramów loco Lwów: Pszenica stara 5·50 do 6·50, Pszenica nowa 5·50 do 6·—, Żyto nowe 4·50 do 5·—, Żyto stare 4·— do 4·25, Owies obroczny stary 5·50 do 6·—, Owies obroczny nowy 4·25 do 4·75, Jęczmień nowy 3·75 do 4·25, Rzepak nowy 8·25 do 8·50, Lnianka —·— do —·—, Siemię lniane —·— do —·—, Siemię konopne —·— do —·—, Anyż —·— do —·—, Groch 6·— do 8·—, Wyka 0.— do 0·—, Bobik nowy 4·— do 4·25, Hreczka 6·— do 7·—, Kukurudza stara 5·— do 5·50, Kukurudza nowa 0·— do 0.—, Chmiel za 56 kilo 70.— do 80·—, Koniczyna czerwona —·— do —·—, Koniczyna biała —·— do —·—, Koniczyna szwedzka —·— do —·—, Tymotka —·— do —·—, Spirytus 10.000 litr. proc. loco stacye kolei 14·— do 14·50, Spirytus na termina 11·— do 12·—.

Telegramy „Przeglądu".

Wiedeń 9 sierpnia. Wobec rozmaitych wersyi o tragicznej śmierci arcyksięcia Wilhelma podaje urzędowa *Wiener Abendpost* szczegóły tego smutnego wypadku na podstawie opowiadania naocznych świadków. Otóż arcyksiążę wyjechał w niedzielę 29. lipca po mszy rannej konno na spacer. Jakkolwiek poranek był dosyć chłodny, skarżył się arcyksiążę na nadzwyczajny upał i duszność. Arcyksiążę jechał tuż koło wagonu kolei elektrycznej, koń jednak nie chciał iść tą drogą i zboczył. Jako wprawny jeździec zmusił arcyksiążę konia do posłuszeństwa i jechał czas jakiś obok wagonu, a następnie podążył kłusem za nim. Na końcu Rainerstrasse wyprzedził arcyksiążę wagon. W tem miejscu skoczył koń znów w bok tak, że arcyksiążę musiał się schylić, aby nie uderzyć głową o konary drzew. Wyjechawszy na swobodną drogę, poprawił sobie arcyksiążę czapkę, a wkrótce potem puścił się koń galopem, ale nie płoszył się bynajmniej. Arcyksiążę wypuścił cugle z ręki, następnie wysunęła mu się lewa noga ze strzemienia potem prawa; zwolna zesunął się arcyksiążę na ziemię i upadł na plecy i głowę, straciwszy przytomność. Koń ani jednego kroku nie wlókł za sobą jeźdźca, gdyż arcyksiążę spadając z konia nie miał nóg w strzemionach. Z tego wynika, że arcyksiążę pod naciskiem kongestyi dostał zawrotu głowy i dlatego upadł z konia. Zresztą jest to całkiem oczywiste, gdyż tak znakomity jeździec jak arcyksiążę nie byłby się dał zrzucić w inny sposób z konia.

Paryż 9 sierpnia. W Marsylii uwieziono niejakiego Włocha Penettiego i znaleziono u niego naboje dynamitowe. Chciał on udać się do Włoch i tam wykonać zamach

Dziennik *Petit Parisien* donosi, że prefekt departamentu Sekwany zawiadomiony został o istnieniu spisku, mającego na celu wysadzenie w powietrze gmachu prefektury.

Wiedeń 9 sierpnia. Organ najwyższej rady sanitarnej konstatuje, że skutkiem zawleczenia cholery z Podola rosyjskiego, powstało w Zaleszczykach ognisko tej epidemii. Od 5 czerwca do 4 sierpnia zachorowało tam 259 osób. W ogóle ognisko epidemii w Galicyi znajduje się w okolicach położonych na uboczu od wielkich linii komunikacyjnych, nad Dniestrem i ujściem Zbrucza i nie przechodzi przez nie żadna kolej. W Galicyi zach. udało się energicznym zarządzeniom władz ograniczyć epidemię i jest uzasadniona nadzieja, że wkrótce powiedzie się zupełnie ją wykorzenić, na Bukowinie zaś nie znalazła epidemia jeszcze wcale żadnego gruntu dla siebie. Wszędzie zarządzono bardzo energiczne środki ostrożności, zwłaszcza ścisły nadzór nad podróżnymi, to też dotychczas nie zdarzył się jeszcze ani jeden wypadek zawleczenia cholery z Galicyi do Węgier lub do innych krajów monarchii.

Monachium 9 sierpnia. W jednym z domów na Steinheilstrasse wybuchł gwałtowny pożar skutkiem eksplozyi benzyny. Ośmiu pompierów i dwóch mieszkańców płonącego domu doznało niebezpiecznych poparzeń.

Liworno 9 sierpnia. Skutkiem zeznań Lucchesiego, mordercy redaktora Bandiego, uwięziono siedmiu świadków, którymi Lucchesi chciał udowodnić swoje alibi. Uwięziono także kilkadziesiąt osób w prowincyi Romanii. Władze wpadły podobno na trop wielkiego anarchistycznego spisku.

Lucchesiemu odjęto wszelkie ulgi, a zwłaszcza nie pozwolono mu dostarczać wiktu z miasta, gdyż zachodziły poszlaki, że wybór i porządek potraw, przynoszonych mu, stanowiły znaki, za pomocą których przyjaciele porozumiewali się z Lucchesim.

Rzym 9 sierpnia. Do „Ajencyi Stefaniego" donoszą z Konstantynopola, że sułtan zgodził się na nominacyę Catalaniego ambasadorem włoskim i że wysłał swego zastępcę, celem powitania Catalaniego w Dardanelach.

W okolicy wulkanu Etny było wczoraj gwałtowne trzęsienie ziemi. Rozciągało się ono na miejscowości Aci Reale, Zaffaranę, Atranahe i Catanię. W Zaffarana zginęło sześć osób, a wiele jest pokaleczonych. W Aci Reale i Santo Antonio, zawaliły się prawie wszystkie domy wieśniacze, czworo ludzi zginęło, a dziewięcioro jest rannych.

Paryż 9 sierpnia. Milan ma stąd jutr wyjechać.

Medyolan 9 sierpnia. Obrońca Caseria, adwokat lyoński Dubreuil, wezwał rodzinę skazańca telegraficznie, aby podpisała prośbę o ułaskawienie.

Na pomniku wzniesionym na polu bitwy pod Mentaną zatknęli nieznani ludzie czerwoną chorągiew, na której był złotem wyszyty napis: „Śmierć burżuazyi. Niech żyje męczennik anarchii! Niech żyje Caserio!" Uwięziono cztery osoby, podejrzane o wywieszenie tej chorągwi.

Paryż 9 sierpnia. W sferach kompetentnych zapewniają, że Caserio ścięty zostanie jeszcze przed 15 sierpnia.

Korfu 9 sierpnia. W dzielnicy żydowskiej explodował z nieznanej przyczyny granat. Siedm osób zginęło. Przypuszczają, że katastrofa wywołana została przez nieszczęśliwy przypadek.

Kopenhaga 9 sierpnia. W tutejszych warsztatach okrętowych wybuchł o północy ogromny pożar. Zawieszono cały ruch w tych warsztatach.

Londyn 9 sierpnia. Cesarz niemiecki był wczoraj na obiedzie w Osborne u królowej Wiktoryi i u księcia Walii.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona na siebie za nią żadnej odpowiedzialności.

Lwów dnia 9 sierpnia. (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 216·50 do 219·50. Kolej Lwow.-Czern. Jassko po 200 zł. w. 279.— do 282—. Banku hipotecznego po 200 zł. w. a. 410·— do 420·—

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. gal. 5% losow. w 40 lat. 101·10 do 101·80, 5% z 10% prem. 109·80 do 110·50, 4½% los. w 50 lat. 100·— do 100·70. Banku krajowego 4½% los. w 51 lat. 100·10 do 100·80, Banku krajowego 4% los. w 57 lat. 96·50 do 97·50, Tow. kredyt. gal. ziemsk. 4% (L emisya) 97·70 do 98·40. 4% los. w 41½ lat. 97·50 do 98·20, 4% los. w 56 latach 96·60 do 97·30. 4½% los. w 52 lat. —·— do —·—.

Obligi za 100 zł.: Galic. funduszu propinacyjnego 4% 96·50 do 97·20. Bukow. funduszu propinacyjnego 5% 101·50 do 102·20 Kom. banku krajowego 5% w. a. II. em. 102·20 do 102·90, Pożyczki krajowej 6% 105·— do —·—, 4½% 100·— do 100·70 4% z roku 1891 96·50 do 97·20 4% z roku 1893 96·50 do 97·20.

Monety. Dukat cesarski 5·85 do 5·95 Napoleondor 9·85 do 9·95. Półimperyał 10·15 do —.—, Rubel rosyjski srebrny czy papierowy 1.33·— do 1.35·—. 100 marek niemieckich 60·80 do 61·40.

Wiedeń dnia 9 sierpnia. (godz. 11 w połudn. Kredyty 363.85, kred. węgierskie —.—, Anglob. 164·50, Uniony —.—, Bankvereiny —.—, Länderbanki 252.—, Akcye tytoniowe 216.50, Staatsbahny 355 15, Lombardy (z kup.) 110.— Elbethale — Renta papierowa —.—, Renta węg. 4% kor. —·— Renta węg. złota 4% —.—, Alpiny —.—, Marki 61·10· Losy tur. —.—.

2)

VERA

przez *Florencyę Marryatt.*

(Ciąg dalszy).

— Pozwól mi przedstawić ci jenerała Perkinsa — wdał się między nich Romer, chcąc uprzedzić nieprzyjemne zajście, na jakie się zanosiło. Gordon skłonił się zimno, ale nie rzekł słowa.

— Nie mogłeś pan znać pani Dowdson, ani pani Mac Squirt — powtórzył rozzłoszczony jenerał.

— Istotnie, nie miałem tego zaszczytu — lodowato odparł Romilly i odgryzłszy koniec swego cygara, zwrócił się flegmatycznie do Romera:

— Pójdźmy palić na dworze — rzekł. — Tu powietrze jest duszne.

Dwaj młodzi ludzie opuścili czytelnię, a zaledwie przekroczyli próg, członkowie klubu z hałasem porywali się z krzeseł.

— Kto to jest ten zuchwalec, ten impertynent? Jak się nazywa? Zkąd się wziął tutaj? — wołano zewsząd.

Zadzwoniono gwałtownie na kelnera, żądając, aby niezwłocznie przyniósł księgę, w której przyjezdni goście zwykli byli wpisywać swe nazwiska.

„Kapitan Gordon Romilly" było wypisane na ostatniej karcie. Po odczytaniu tych słów, wiekowy mężczyzna, który dotąd zachowywał neutralne milczenie, wystąpił naprzód z objaśnieniem.

— Mogę zadość uczynić ciekawości waszej co do osoby tego młodzieńca — rzekł — gdyż przyjaciel mój, Kinnaird, zostaje w blizkich stosunkach z całą jego rodziną. Jest on najmłodszym synem lorda Esskina Romilly, a wnukiem hrabiego Bournemouth. Obecnie zajmuje stanowisko adjutanta przy osobie gubernatora. Należy do brygady strzeleckiej i przed kilku miesiącami został odkomenderowany do Madrasu w zastępstwie Plowdena, który z powodu choroby otrzymał urlop. Piękny mężczyzna, o ile dotyczy powierzchowności.

— Malowana lalka! — zjadliwie dorzucił jenerał Perkins.

Romer tymczasem rozkazał groomowi, aby podjechał kabryoletem do drzwi i zaproponował przyjacielowi przejażdżkę dokoła jeziora.

— Pokażę ci niektóre nasze górskie piękności — rzekł, ujmując lejce i kłusem puszczając ogniste kucyki. — Będziesz je mógł porównać z kwiatami rozkwitłemi na równinie.

— Zaniechaj, proszę, tej myśli — bronił się Gordon, wygodnie rozkładając się na poduszkach siedzenia. — Jeżeli istotnie są urodziwe, gotowa mi przyjść chętka zapoznać się z niemi, a wcale w innym zamiarze przybyłem w te góry.

— Czy obawiasz się może, aby zaloty nie wyczerpały zbytecznie twojej delikatnej konstytucyi? — śmiejąc się, zapytał Romer.

— Nie zastanawiałem się nad tem. Chwała Bogu, nie kochałem się nigdy i mam nadzieję, że nigdy się nie zakocham; o ile bowiem sądzić mogę z cudzego przykładu, musi to być piekielnie męczący eksperyment.

— A jednak przybyłeś tu w celu zmiany! — wesoło dorzucił jego towarzysz.

ROZDZIAŁ II.

— No, ale powiedz mi szczerze — zapytał Romer, kiedy stanęli na płaskowzgórzu — co się tak bardzo nie podoba w tym kraju?

— Wszystko, mój kochany — odrzekł znudzonym tonem. — Klimat jest zabójczy, ludzie zacofani i pełni wysokiego mniemania o sobie; jednem słowem, niepodobna tu znaleźć najmniejszej rozrywki.

— Co się tyczy klimatu, przyznaję, że nie należy do najzdrowszych, ani najprzyjemniejszych — odparł Romer — ale od rodaków moich, naturalizowanych w Indyach, doznałem wiele gościnności; przykro mi więc słyszeć cię potępiającego ich ryczałtowo.

— Mówię z osobistego doświadczenia — rzekł Gordon. — Może jednak nie natrafiłem na twoich przyjaciół. Czego nie mogę znosić, to ich zarozumiałości narodowej.

— Czyż cię to dziwi, że obstają za przybraną swoją ojczyzną?

— Nie; ale irytuje mnie, jak zaczną wychwalać pod niebiosa swoje instytucye, zwyczaje i zabawy madraskie. Ktoby pomyślał, że równych im nie ma na świecie całym! Czy dasz naprzykład wiary, że jedna z kobiet zapytała mnie raz na obiedzie u gubernatora, czy znajdowałem się kiedy na tak świetnem zebraniu?

— I ręczę ci, że zadała to pytanie w najlepszej wierze.

— W takim razie była albo kompletnie ograniczona, albo nie miała wyobrażenia o sposobie, w jaki żyjemy w Anglii — obruszył się Gordon.

— Otóż to właśnie. Po większej części kobiety nasze nie znają wcale świata. Przybywają tu prosto z pensyi, a odwiedzają kraj już w charakterze matek rodziny, zmuszonych liczyć się z wydatkami. Nie dziw się więc, że nie mają sposobności obeznać się ze zwyczajami naszych wyższych sfer towarzyskich.

— Dlaczegoż więc usiłują nam imponować wystawnością? Przechwalają się ze swoich strojów, dostatków i przepychu, a nie zdarzyło mi się być na żadnem zebraniu, które wytrzymałoby porównanie ze zwyczajnym rautem angielskim.

— Bo dla nich świat tutaj zaczyna się i kończy. Madras jest ich Londynem, a ratusz pałacem windsorskim. Ale powiedz mi, jak ci się podoba ten oto widok? Musisz choć przyznać, że okolice mamy piękne.

— Tylko, że w tem nie wasza zasługa. Kraj rzeczywiście jest malowniczym. Mógłbym zawołać z Wattsem: „Świat jest pięknym, człowiek tylko jest chydą stworzenia!" Chcesz papierosa?

— Nie, dziękuję ci. Jeżeli lubujesz się w pięknościach natury, to możemy zadowolnić cię w tej mierze. Przybyłeś w samą porę. Newland jest tutaj i jutro właśnie wybieramy się w góry na polowanie. Będziemy bardzo radzi, jeżeli się przyłączysz do nas. Wszak pamiętasz Newlanda?

— Nie przypominam sobie.

— Jakto? Nie pamiętasz Henryka Newlanda, najwyższego wzrostem z całego kolegium? Ale mniejsza o to... dość, że jest on tu obecnie. Zapalony myśliwy. Ale... ale... żona umarła mu przed paroma miesiącami. Nie zacznijże więc przypadkiem sławić przed nim rozkoszy stanu małżeńskiego, bo wybrałbyś się nie w porę.

— Ja? — zawołał Gordon. — Czyż to podobne do mnie? Nie wiem nawet, czy taka rzecz istnieje na świecie.

— Jesteś, jak widzę, kawałkiem mizantropa — zaśmiał się jego towarzysz. — Wyleczymy cię z tego. Górskie powietrze podziała na ciebie jak czar wiosenny.

— Mylisz się, mój kochany. Nie mam wstrętu do ludzi; jestem zgodny w pożyciu towarzyskiem, ale nie kochałem się nigdy i mam nadzieję, że się nigdy nie zakocham... to też uczucia, o których wspominasz, są dla mnie księgą w niezrozumiałym języku pisaną. Ile razy miałem do czynienia z kobietami, począwszy od mojej matki, zawsze kończyło się na jakiejś awanturze i kłopocie. To też przez instynkt samozachowawczy postanowiłem w całem swem życiu trzymać się zdala od drugiej połowy rodu ludzkiego.

— Chwalebny zamiar! Ale spokojne puszcze nasze nie narażą cię na żadne pokusy w tym kierunku. Jeżeli przyłączysz się do nas, to gwarantuję ci, że nie napotkasz po drodze niebezpieczniejszych istot rodzaju żeńskiego, jak płowe sarny, których spojrzenia nie zranią przecież twojego serca.

— Nie ma obawy, aby czyjekolwiek spojrzenia dokazały tego — odparł Gordon.

Stanęli wreszcie na zakręcie gościńca, zkąd poboczne drogi rozbiegały się w różnych kierunkach. Naraz samotna postać kobiety z obłąkanem wejrzeniem i włosami rozrzuconemi w nieładzie, szybko przemknęła tuż obok nich. Gwałtowne jej ruchy i wyrazy wymawiane bez związku zwróciły uwagę obu młodych ludzi.

— Kto to jest? — zawołał Romer.

— Waryatka albo pijaczka — odrzekł Romilly.

— Nie, nie... Co widzę? Co widzę? To mistress Ward, żona pastora. Potrzymaj chwilę lejce, Gordonie. Pobiegnę zapytać, co się jej stało?

I nie czekając odpowiedzi, Romer wyskoczył z kabryoletu i puścił się w pogoń za biegnącą bez upamiętania kobietą.

— Mistress Ward! — zawołał. — Co pani jest? Czy nie mogę być pani w czem pomocnym?

Odwróciła się na te słowa. Była to szczupła, średnich lat kobieta, ubrana w perkalową, pomiętą suknię i wyszarzały czarny szal spięty na piersiach. Twarz jej śmiertelnie blada wyrażała boleść i przerażenie bez granic.

— Powiadają, że zdarzył się jakiś wypadek — wybełkotała na wpół przytomnie — że ktoś... został zabity. Przysłano do mnie do miasta, dokąd poszłam za... Ale gdzie to zostawiłam mój koszyk?... Nie wiem... nic nie wiem... Tu mi się coś mąci... — dodała, boleśnie dotykając czoła. — Tak; ktoś podobno został zabity... ale nie Alicya... Nie, nie... to nie może być Alicya...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor: Wacław Masłowski — Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Bielej. — Z drukarni nakł. W. Manieckiego. — Zarządca W. Hodak